№ 25. Warszawa, dnia 11 (23) Czerwca 1883 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.—Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**

Półrocznie . . . **rs. 5**

Rocznie . . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . **rs. 1 k. 25**

Półrocznie . . . . **rs. 2 k. 50**

Rocznie . . . . . **rs. 5**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. **3.**

Z DZIEDZINY POEZYI.

Szkic literacki

E. ZORYANA.

Autorka, o której zamierzam pisać, od niedawna dopiero wstąpiła w literackie szranki; lat zaledwie kilka spotykamy się z jej nazwiskiem, a jednak głośne ono już dziś bardzo. Marya Konopnicka sięga po wawrzyny!

Autorka to niepospolita, jakkolwiek pojawienie się jej nie było bynajmniej niespodziane. Wyrosła ona z ducha społecznego, z nowego kierunku literatury.

Pomiędzy społeczeństwem a literaturą panuje węzeł nierozerwalny, jest pomiędzy niemi łącznik ukryty, który pozwala znając jedno, sądzić o drugiem. Najczulszym probieżem prądów i usposobień społecznych jest bezwątpienia poezya. Ztąd to tak tak często powtarza się zasadę, że *poeci są wyrazem swego wieku.* Jeden jest nim w całej pełni, drugi ciszej uderza w strunę i staje się śpiewakiem tylko chwili pewnej, okiem nie obejmuje wielkich przestrzeni, lecz zakątek tylko. Jeden wzbija lot górny, inny pozostaje w ukryciu — tamten rozwiązuje zagadnienia dotyczące ludzkości całej, lub chociaż tylko swego społeczeństwa, ten podejmuje myśl drobniejszą, a przeoblekając ją w szatę opowieści, zastosowywa do jednostki tylko.

Te pierwsze stanowiska zajmowali zawsze wielcy poeci — kobiety poetki zadawalały się drugorzędnemi. Mieliśmy wprawdzie autorki zasłużone talentem i pracą, lecz nie było o nich tak głośno jak dzisiaj. Rzecz to zresztą naturalna. Praca kobiet zdobywała sobie dopiero stanowisko słuszne i należne, zwalczać musiała wiele, aby dojść wreszcie do tego, czem się dziś może pochlubić.

Dziś cenią pracę kobiecą równo, jeśli nie więcej aniżeli mężczyzny. Pracą zdobyte stanowisko wymaga dalszej wytrwałości, a terenem jej rzeczywistość.

Dawniej było inaczej, kiedy p. Seweryna Duchińska wołała:

O kobieto! któż cię zdoła.
Z tych ułudnych wyrwać sideł,
Lepiej, lepiej od anioła,
Promienistych pożycz skrzydeł.

Inna ciebie przyszłość czeka,
W górę jasnem sięgnij czołem!
Chcesz się dobić praw człowieka,
Ty, co możesz być aniołem!

Praw człowieka dobiła się kobieta istotnie i bardzo zaszczytnie, bo wytrwałością i ciągłym postępem. I sprawdziło się nie raz, lecz sto razy, to co ktoś powiedział: „że kobiety są wrażliwsze, szybciej pojmują, często też nowa idea na której się mężczyźni nie poznali w kobiecie znalazła pierwszego apostoła.”

Jeżeli gdzie, to w literaturze bez wątpienia najwyraźniej, najsilniej się każde apostolstwo objawia, kobiety-autorki sprawdziły powyższe twierdzenie.

Zachęcone pięknym przykładem Klementyny

z Tańskich Hofmanowej, że już o dawniejszych nie wspomnę, wzięły się inne kobiety do pióra. Dawniej pojawiały się imiona kobiece w literaturze tylko epizodycznie, odtąd rozpoczyna się szereg ciągły. Kiedy znakomitej autorki „Jana z Czarnolesia” już pośród żyjących zabrakło (rok 1845) pojawia się odrazu kilka kobiet, które wkrótce zjednały sobie na polu literatury uznanie. Dość powiedzieć, że w tymże samym roku zaczyna się działalność Narcyzy Żmichowskiej (Gabrieli), w trzy lata później spotykaliśmy się z nazwiskiem Seweryny Duchińskiej, a znowuż w cztery lata zjawia się Jadwiga Łuszczewska (Deotyma), która swemi improwizacyami u obcych nawet wzbudzała podziw.

Szereg ten już nie zamyka się, lecz owszem coraz pomnaża. Posiew widocznie był dobry. Wprawiając się w piórze, poczęły autorki powoli rywalizować z mężczyznami. Co tę pracę kobiet najpiękniej zdobi opromienia, to gwiazda przewodnia, która ich nie opuszcza ani na chwilę, a tą: wiara czysta, silna i miłość domowego ogniska.

Po wielkiej epoce poezyi Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, przyszła kolej na inną poezyę.

Wiek taki, jak obecny ze swemi niedostatkami, że tak rzekę codziennemi troskami zbyt powszedniemi, nie bardzo sprzyja rozwojowi poezyi. Słusznie go wiekiem realnym nazwano. Zdawało się wielu poetom kilku ostatnich lat dziesiątków, że to co nam życie przynosi dodatniego, czy ujemnego nie jest dość wielkie, aby mogło być przedmiotem poezyi. I nie chcieli też na temat współczesny śpiewać, zapominając, że każda doba życia musi mieć swą odrębną poezyę: więc wogóle pisano mało.

Objaw to tak charakterystyczny, że Piotr Chmielowski w swym *Zarysie literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu* powiada:

„Obecnie widzimy bardzo ważny zwrot *ku lepszemu*. Pisma nasze obecnie nieporównanie mniej drukują poezyi, niżeli przed laty piętnastu; można powiedzieć, że dziś tyleż wierszyków zostaje w koszu redakcyjnym ile ich poprzednio czytelnikom podawano.” (str. 45.)

Ci saś poeci, którzy jeszcze tworzą, żalą się na prozaiczność dzisiejszej doby.

Jesteśmy dziećmi wieku bez miłości,
Wieku bez marzeń, złudzeń i zachwytu,
Obojętnego na widok piękności,
A więdnącego z nudy i przesytu.

Wieku co wczesnej doczekał starości,
Sam podkopawszy prawa swego bytu;
Wieku, co siły strwonił i nadużył,
Nic nie postawił, chociaż wszystko zburzył.

Woła Asnyk, a za nim wielu, wielu innych, którzy sami nic nie stworzyli, prócz chóru narzekania.

Zanoszą skargę do Boga, że świat zimny i nieczuły na piękno, a o ludzkości mówi poeta:

Dałeś jej ziemi obszary jałowe,
I dożywotne dałeś jej dziedzictwo,
Ale zabrałeś najlepszą połowę:
Idealnego świata uczestnictwo!

I oto w takiej chwili zjawia się poetka, która daje swej braci po lutni taką odpowiedź:

Skarżycie się na wiek co ideały
Odziera z szat i waży je i mierzy...

. . . .

Skarzycie się, że śpiewać nie ma komu

. . . .

Lecz gdzież jest pieśń z marmuru wyrzeźbiona,
Jak biały Bóg, co nocy cień zwycięża?..
Gdzie jest ta pieśń, co błyszczy jak korona
Słonecznych zórz, na jasnem czole męża?...

Lecz gdzież jest pieśń, co jako młot olbrzyma,
Z surowych skał wykuwa dzieło ducha?
Gdzie jest ta pieśń, co berło prawdy trzyma,
Pada jak grom, a jako pożar bucha?

Lecz gdzież jest pieśń, co czołem swem wybiega
Do wyżyn tych, gdzie pnie się duch stęskniony?
Gdzie pieśń, co skry w zmartwiałej krwi zażega
I hasłem jest, pod którem wrą miliony.

. . . .

Ah! taką pieśń, lirnicy małowierni,
Zanućcie tu!...

Oto punkt wyjścia Konopnickiej. Każde społeczeństwo zrozumie i rade będzie słuchało takich poetów, jakich istotnie potrzebuje. Przekonamy się, że Konopnicka, chociaż nie jest geniuszem, nie rywalizuje z takimi potęgami ducha jak Mickiewicz i Krasiński, przecież umiała trafić w najczulszą strunę uczuć społecznych.

Konopnicka posiada talent niepospolity, każdy przedmiot pod jej piórem nabiera skończonej artystycznej formy, wszędzie umie dopatrzeć się strony poetycznej i podnosi ją. Daleka od egzaltacyi, nie zakrywa prawdy blichtrem i właśnie to stanowi jej siłę. Łzy i uśmiechy splatają się w niej w harmonijną całość, złociste promienie olśniewają nieraz wielkie boleści i cierpienia. Doświadczenie nauczyło autorkę zgłębiać prawdę życiową, natchnienie ubierać ją w szatę poetycką, a talent pisarski wytwarza doskonałą formę — język.

Wykwintnością formy, wdziękiem jej i bogactwem barw, zbliża się Konopnicka do Słowackiego — powiedział J. I. Kraszewski — lecz spokojem i powagą go przewyższa. A jednak są to duchy pokrewne. Zdanie to pojawiło się po wydaniu pierwszego tomu poezyi Konopnickiej. Dziś zmieniłby je Kraszewski niezawodnie, chociaż nawet jako sąd o pierwszym tomie, jest ono trochę przesadzone. Mianowicie nie możemy się pisać na owę wyższość Konopnickiej nad Słowackim.

Co do formy przyznajemy zupełną słuszność. Łatwość jej zdumiewa, bogactwo olśniewa. Pięknem języka sypie jak brylantami, a co chwila nowe spotykamy niespodzianki. Liryka, czy opisy zarówno wprawne z pod jej pióra płyną, lecz pierwsza szczególną ma siłę, przewija się ona nawet w epice, a już w fragmentach dramatycznych owłada każdem słowem.

Przytem rozwija poetka wielkie bogactwo, rozmaitość myśli i uczuć, czem sprawia, iż obracając się przeważnie w kółku liryki nie popada przecież w jednostajność.

(*D. c. n.*)

Do chmurek.

(Z Lermontowa.)

O chmurki ulotne, wy niebios posłanie
Czemu spojone jak łańcuch perłowy —
Mkniecie w eterze by jacy wygnańce,
Z mrocznej północy w kraj południowy?

I cóż was pędzi? Czy losów wyroki?
Zbrodnia tajemna? Czy zawiść odkryta?
Czy na was cięży jaki żal głęboki?
Lub nieprzyjaciół zemsta jadowita?...

Nie, was znudziły te łąki bezpłodne,
Bo wy nie znacie łez i narzekania,
Wy zawsze zimne, lecz zawsze swobodne —
Wy bez ojczyzny — nie znacie wygnania!...

Kazimierz Lechnicki.

Dubno.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Po załatwieniu formalności meldunkowych, Stanisław zatrzymał się w hotelu na Dziekance a że to była przedpołudniowa pora i każdy zajęty był pracą, przyodziawszy się należycie poszedł do klasztoru księży Pijarów dla obejrzenia miejsc w których lat kilka przepędził pod opieką zacnych kapłanów. W korytarzach cicho było i pusto, wejście do izb szkolnych zamknięte, tylko echo jego kroków z łoskotem odbijało się pomiędzy ścianami.

Na podwórzu nic się nie zmieniło. Wchodziło się do niego przez ten sam ganeczek z ławeczkami; na środku podwórza tak jak dawniej stała studnia, z której podczas pauzy dziesięciominutowej ciągle lała się woda, czerpana chciwie przez rojną uczącą się młodzież.

Pod murem zieleniły się drzewa rzędem stojące, z podziemi klasztornych drukarnię niegdyś obejmujących, w których robocie zecerów i preserów tak się ciekawie przypatrywano, wyglądały małe okienka zasnute kurzem i pajęczyną. Wszystko więc było jak dawniej, tylko brakło ruchu i gwaru, krzykliwych gonitw uczącej się dziatwy i poważnych postaci rektora i prowincyała, zwykle siedzących na ganku i z wielkiem zajęciem przypatrujących się figlom i baraszkom rozsypanej po

całem podwórzu młodzieży, gdy dzwonek u stróża o godzinie dziesiątej rano ogłosił przerwę nauki.

Stanisław obejrzał wszystkie kąty i zaułki klasztorne, przeszedł około cel i refektarza, zatrzymał się przy bocznem wejściu do kościoła, przez które uczniowie codziennie wchodzili przed rozpoczęciem lekcyi dla wysłuchania mszy przy odgłosie organów i chóru z samych nich złożonego. Zdawało mu się, że widzi jak się pary snują, klasa idzie za klasą, jak się wszystkie oczy zwracają ku profesorom otaczających rektora i prefekta, jak to wszystko niknie w korytarzyku... i biedny marzyciel ze łzami w oczach wybiegł na ulicę.

Poszedł potem na Stare miasto, wspiął się na schody prowadzące do dawnego swego pokoiku... był niezamknięty i pusty, ściany miał świeżo ubielone, dla prędszego więc wyschnięcia zostawiono go otworem. W progu obrzucił pokoik jednem spojrzeniem i poszedł ku oknu.

W mieszkaniu przez ciotkę ze Stasią niegdyś zajmowanem, okna były zasłonięte, tylko jeden z lufcików otwarty. Wpatrzył się w niego, zdawało mu się, że musi w nim ujrzyć swoją ukochanę, że choć rączkę pokaże, lub przemknie się w przechodzie z jednego do drugiego pokoiku. I długo tak byłby marzył i dumał, gdyby nie zapytanie stróża czy pokój ten chce nająć?

Stanisław dał zadatek i w godzinę później już był w domu do którego pani Kraworska przeniośła się ze Starego miasta wzywając go za nauczyciela do Stasi.

Nie poznał go tak się wielce odmienił w swej powierzchowności.

Front stanowiła trzypiętrowa kamienica, dziedziniec otaczały oficyny murowane a nad domkiem dotykającym ogródka ustawiono piętro.

Ogród był osztachetowany, wejście przymknięte, na ławeczce gdzie stała dawniej altana miejsce jego uroczych pogadanek ze Stasią, siedziała jakaś poważna pani zajęta ręczną robotą, a pomiędzy grzędkami przechodziła młodziutka panieneczka zrywająca do bukietu kwiatki, których już pełną rączkę trzymała.

Złudzenie było zupełne, ale tylko złudzenie.

Stanisław wiedział o nieszczęśliwym losie Stasi, poczciwy Wach o wszystkiem go zawiadomił co się z nią stało po jego wyjeździe.

Były to wieści straszne dla Stanisława.

Wacław zbadał wszystko i odkrył wszystkie tajemnice przedtem obu nieznane.

Kraworska była siostrą rodzoną Jadwigi nieszczęśliwej waryatki, i żony zmarłego Bociaga a ojca Stasi, przy którym chował się mały jej synek Józio. Wszystkie te siostry dzieci ubogich rodziców, były niezmiernie urodziwe: Jadwiga wykształcona w nauczycielskim zawodzie o mało nie wyszła bardzo bogato za mąż; siostra jej starsza poszła już za podżyłego Kraworskiego, urzędnika dość znacznego stopnia, po którym bardzo dostatnią pobierała emeryturę. Bezdzietna, Stasię chrzestnicę jakby rodzoną córkę kochała, a że jedynie urodzie swej winna była zdobyte stanowisko, postanowiła więc zająć się jej wychowaniem i wydać zamąż, jak tylko można najlepiej, to jest bogato, choćby za starca byle pieniężnego.

Stasia zapowiadała w przyszłości bardzo urodziwą dzieweczkę. Oprócz urody miała wdzięk niewieści, ruchy zgrabne i postać całą bardzo ujmującą, brakło jej tylko odpowiedniego wykształcenia.

Kraworska wzięła ją do siebie już dziewczynką dwunastoletnią, posyłała na pensyą, kazała uczyć muzyki, obcych języków, a sama głównie zajęła się, jak to mówią, dobrem wychowaniem, aby umiała zgrabnie chodzić, poruszać się, kłaniać, prowadzić rozmowę i przybierać powierzchowność wszystkim się podobającą, szczególniej wolną od trzpiotowstwa, tak pospolitego w młodych dziewczęciach.

Odpowiednio do tego nie szło jej o gruntowność w nauce, ale o umiejętne błyszczenie nią, o świadomość wszystkiego potroszku, aby zawsze i wszędzie z wykształceniem swem umiała się jak najlepiej przedstawić. Z takiem pojmowaniem pożytku nauki, ciotka nie taiła się, uważała to za rzecz zupełnie naturalną i tak wpłynęła na Stasię, że ta na wszystko patrząc jej oczami, choć czasem chciała się zbuntować, pozorowi oddawała pierwszeństwo. O sercu, o obowiązkach obywatelskich, nigdy nie było mowy, we wszystkich radach, uwagach i napomnieniach, wydanie się zamąż bogato i dostatnio, było przedstawiane jako jedyny cel i przeznaczenie panny dobrze wychowanej.

Jakim sposobem Władysław Długosz, młodzieniec należący do bardzo arystokratycznej i bogatej rodziny, poznał Stasię i ukochał ją, Wach dobrze o tem nie wiedział. To tylko było pewnem, że i pod jego ognistemi spojrzeniami serduszko Stasi nie przebudziło się. Widziała w nim nie ukochanego w blasku tęczy unoszącego się nad ziemią, ale pana bogatego o jakim ciotka marzyła a ona miała nadzieję, że go kiedyś zdobędzie.

Gdyby młody Władysław miał dzielne serce, rozsądek wykształcony, hart silnej woli i kochał jak prawdziwy człowiek, który myślą wznosi się nad tłum pospolity i Stasi serce zadrgałoby prawdziwem uczuciem. Ale Władysław był to sobie najzwyczajniejszy... salonowiec, przystojny, okaźny, w towarzystwie ujmujący, nieprzekraczający nigdy granic prawideł przyzwoitości i etykiety, umiejący o wszystkiem rozprawiać, dowodzić, mówić wiele, ale... tylko mówić i w mowie przedstawiać się jak skończona doskonałość.

Powierzchownością królował, moralną wartością spadał na zero, namiętności nie umiał uwięzić, wola w nim była chorągiewką, a każda zachciewka wszechwładnym panem. Kochał też w Stasi jej wabną tylko powierzchowność, a ona w nim tylko przyszłe państwo i nie wiedzieli oboje, że się wzajemnie także... tylko łudzą.

Gdy Kraworska mieszkała na Starem mieście, Władysław bywał u niej dosyć często, ale tylko w dzień i dlatego Stanisław nigdy go przy Stasi nie widział.

Raz tylko zaszedł wieczorem i wtenczas cienie za firanką poruszające się nie uszły jego uwagi.

Rozmowa ich bardzo zwyczajną bywała. On jej opowiadał wszystkie zdarzenia domowe, różne plotki i awanturki, jak się krył ze swą miłością do niej, jak się kiedyś umebluje, jak dom prowadzić będą, jak udobrucha całą rodzinę zagniewaną na jego ożenienie i jak wreszcie przyznają, że Stasia umie być panią i znajdzie się odpowiednio choćby na królewskich pokojach. Ona znów wypytywała się go, czy w dobrach jakie mu mają oddać rodzice, znajdują się gęste cieniste parki, czy są obszerne stawy z łodziami do pływania i czy jeździć będą za granicę o czem jej ciotka wiele mówiła.

Jeżeli Stasia czasem rzuciła jakie zapytanie świadczące niekorzystnie o jej wiadomościach naukowych, Władysław uśmiechał się, dawał odpowiednie objaśnienie a ona rumieniła się zawstydzona. Dlatego też, gdy Stanisław rozpoczął lekcyę, zarzucała go tak pytaniami w różnorodnych przedmiotach, bo pragnąc się jak najlepiej przedstawiać, łaknęła wszystko poznać, zrozumieć, wybadać, aby uniknąć wstydu przed ukochanym a później przed rodziną, gdy żoną jego zostanie.

Tak wychowana ucząca się i kochana, wyrastała Stasia na prześliczną laleczkę, ze lśniącemi barwami kolibra, na rezolutną papużkę i istotę wabną jak marzenie jak kwiatek świeżo rozkwitły, który po pierwszej burzy ginie i zostawia po sobie suchą jedynie łodygę. Duszyczka jej drzemała, serduszko spało, z pod fatałaszków próżności ani jedna ani drugie znaku nie dawały życia. A jednak były to skarby, na których ani ciotka ani Władysław poznać się nie umieli.

Gdy Stanisław został powołany do jej nauczycielstwa, po kilkunastu lekcyach, umysł Stasi ocknął się nagle. Władysław mieszkał już na wsi, widywał się z nią nadzwyczaj rzadko i zawiadomił wreszcie, że ją wkrótce w domu swoim powita jako małżonkę, prosząc, aby się nauczyła jeździć konno, gdyż w Paryżu wszystkie panie wyższego świata używają tej rozrywki. Przytem przesłał opis amazonki w jakiej życzyłby sobie, aby Stasia wystąpiła.

Żądanie to dziwnie na dzieweczkę oddziałało.

Dawniej byłaby je natychmiast spełniła, teraz obudziło w niej pewien niesmak, czego przyczyny nie umiała nawet objaśnić. Zdawało się jej, że jazda konno jest rzeczą tak błachą, że niewarto się nią nawet zajmować a tymbardziej mówić o niej w liście do narzeczonej pisanym.

Z początku na powierzchowność Stanisława nie zwróciła nawet uwagi: wiedziała, że jest ubogim akademikiem, a czy pięknym czy brzydkim nic ją to nie obchodziło. Może nie wiedziała jakiej urody jest Władysław; był bogatym, brzydkim więc być nie mógł.

W miarę jednak jak coraz więcej korzystała z lekcyi Stanisława a szczególniej z jego pogadanek tak przez nią upragnionych, zaczęła dostrzegać w rysach twarzy jego coś niezmiernie pociągającego, coś tak szlachetnego, że mimowoli oczy je lgnęły ku niemu. Ciotce często powtarzała, że nauczyciela swego bardzo lubi, że nawet kochałaby go jak ojca, gdyby był starszy.

To przyjazne uczucie ciągle się wzmagając było bezwiedne, nieokreślone, Stasia coraz częściej myślała o Stanisławie, wyczekiwała z niezmierną niecierpliwością jego przybycia, cieszyła się jego obecnością, ze szczerym smutkiem żegnała, ale jeszcze nie kochała a przynajmniej nie wiedziała, że kocha.

Zapytanie to nawet się jej przez myśl nigdy nie przemknęło, ciotkę czasem coś zaniepokoiło, ale patrząc na dziewczątko wolne od wszelkiej obłudy, na jej naiwność pełną szczerości, uważała życzliwość jej dla nauczyciela za przyjaźń której szacunek główną był podstawą. Spostrzegła jednak że w rozmowach z nią, od pewnego czasu, Władysław nie jest wszechwładnym panem, jak to dotąd zawsze bywało: że często robi wzmianki o Stanisławie, przytacza jego zdania i układa pytania jakie mu ma zadać w nadchodzącej lekcyi.

Raz Stasia zapytała:

— Moja ciociu, powiedz mi, który jest przystojniejszy, czy Władysław czy pan Stroński?

— Szczególne pytanie! — odrzekła ciotka. — Zkądże ci przyszło do głowy?

— Nie wiem, ot tak sobie. Czasem myśli trudno się oprzeć, któryż więc jest według cioci przystojniejszy?

— Oj! ty dziwaczko! Przecież każdy to widzi, że pan Władysław jest bardzo ładnym mężczyzną a pan Stroński do urody nie ma najmniejszego prawa.

— I ja to sama widzę, a jednak są chwile, moja ciociu, w których mi się gwałtem zdaje, iż pan Stroński jest przystojniejszym od Władysława. Czyż to nie dziwne, żeby takie panowało złudzenie?

Rozmowa ta miała miejsce przed lekcyą, po której ofiarowała Stanisławowi bukiecik z niezapominajek prosząc o pamięć.

Zrobiła to mimowiednie, wypowiedziała pragnienie nie zastanowiwszy się nad jego znaczeniem, jak ptaszek wyśpiewujący radosne szczebioty a niewiedzący dlaczego się raduje i weseli.

Z czynu też tego nie zrobiła tajemnicy, opowiedziała zaraz ciotce czem obdarzyła Stanisława i cieszyła się, że tak się tem zajął, iż zapomniał nawet podążyć za nią do altany. Nie przeczuwała biedaczka, że to już było ostatnie ich widzenie się, że świat czy los fatalny rozdzieli ich na zawsze, że marzenia jej prysną jak bańka mydlana, a on tęskniąc pocieszać się będzie jedynie... wspomnieniem.

Gdy się dowiedziała o nagłym wyjeździe Stanisława, przerażona nie mogła pojąć uczucia jakie nią na wiadomość tę zawładnęło. Był to smutek ale bez nadziei jego ukojenia, boleść której końca nie przewidywała, coś tak strasznego że w następstwa lękała się myślą zapuszczać. Zdawało się jej, że wszystko w niej oblekło się kirem żałoby i pierwszy raz o czekającem ją małżeństwie z Władysławem, na chwilę zapomniała. Dziwiła się temu, nie pojmowała sama siebie i mimowoli nasuwało się jej pytanie, jaka być może właściwa tego przyczyna?

Czyby go kochała?

Ale miłości prawdziwej nie znała jeszcze. Ciotka nigdy jej o niej nie mówiła tylko o małżeństwie: Władysław o wdzięku i urodzie, które go oczarowały. Miłość prawdziwa, oparta na zjednoczeniu myśli, pojęć i pragnień, była dla niej krainą nieznaną. Obrazy rozkoszy jakie daje bogactwo zabijały wszystko.

Stasia marzyła o przyszłem państwie, Władysław o posiadaniu piękności, którą podziwiać będzie salon a salonowcy zazdrościć. Były to uczucia czysto zmysłowe, w niej wywołane przez zły kierunek wychowania, w nim przez zachciewkę, której nigdy nie umiał się oprzeć.

Ze wstrząśnienia, jakiemu uległa, powstał chaos pojęć i rozumowań: bierność z czynnością zaczęły zażartą toczyć walkę... i przed jej ukończeniem małżeństwo z Władysławem przyszło do skutku.

Państwo młodzi wyjechali za granicę, co się dalej z nimi działo, Wach nie umiał opowiedzieć.

Wiedział tylko, że rodzina Długoszów dowiedziawszy się o małżeństwie Władysława, wzruszyła się jakby pod nią ziemia się zatrzęsła i że we dwa lata później Stasia cierpiąca, zmieniona do niepoznania, przyjechała do ojca i zostawszy matką wkrótce potem rozstała się z życiem.

Stanisław stojąc przy sztachetach ogrodu, po którym pomiędzy grzędami zbierała kwiatki nieznajoma mu panienka, wszystkie te szczegóły splatając z własnemi wspomnieniami, zadumany wyszedł na ulicę i połączył się z gwarem życia toczącym się jedną zawsze koleją.

(D. c. n.)

Z PIEŚNI MŁODOŚCI.

NAD WILIĄ.

Ah! u nas nad Wilią i stary i młody,
Gdy stanie na brzegu, zaczerpnie z niej wody,
Już wierzą w omanki, złudzenia i czary,
Co śnią się na jawie. Jak nie dać im wiary!

Tu w ciszy z potoku, przy świetle księżyca,
Wychodzi i wabi każdego dziewica
Urocza, jak złotej młodości marzenie,
Rozkoszna jak miłość, a nikła jak cienie.

I mówi każdemu: „Chodź ze mną, chodź ze mną,
Zawiodę cię w swoją krainę tajemną,
Gdzie młodość odwieczna w gwiaździstej koronie
Z pięknością, z miłością królują na tronie."

Dlatego nad Wilią i stary i młody,
Wciąż wzdycha do owej krainy swobody,
Wciąż rzuca świat ziemski dla świata idei,
I nudno mu w życia zwyczajnej kolei.

Bo kogo uwiedzie rusałka ta płocha,
Kto widmo poezyi raz w życiu pokocha,
Ten wierzy już w cuda, ten śni już na jawie,
O niebie, o ziemi, o dziejach, o sławie.

Dlatego i serca tu biją goręcej,
I uczuć tu więcej i pragnień tu więcej,
I pieśń tu się śpiewa jak płomień ognista,
A uczył jej śpiewać największy lutnista.

Antoni Kruman.

Z PAMIĘTNIKÓW LITWINA.

(Dalszy ciąg.)

Na zakończenie wspomnę o dwu zaginionych już dzisiaj obyczajach szkolnych: majówkach i biesiadach.

Majówka była największem świętem szkoły. Wczesnym rankiem majowym młódź szkolna kilkoma kolumnami, pod przewodnictwem nauczycieli, z muzyką i chorągiewkami, wyruszała za miasto do jednej z okolicznych wsi i tam pod lasem bawiła się dzień cały. Rodzice i znajomi dostarczali zapasów żywności, a na wzór saturnalii rzymskich, w ten dzień wyjątkowy było dozwolono wszystko, nawet trunki i fajki (papierosów jeszcze nie znano). Obyczajem również rzymskim, młodzież mogła dnia tego żartować ze swoich przełożonych; układano nawet żartobliwe piosenki o niektórych profesorach, a gdy na zakończenie majówki, chwytano wszystkich nauczycieli na ręce i podrzucano w górę, nielubiani często niby przypadkowo doznawali nieco szwanku. Prawo owego podrzucania było przywilejem uczniów w dzień majówki i wyprosić się od niego było trudno; niektórzy, jak otyły pan Cz. zręcznie uciekali od tego obrzędu. Młodzież bawiła się na majówce głównie grą w piłkę (w zaginionego już dziś „palanta"), muzyka była amatorska, gdyż między uczniami klas wyższych znajdowało się zawsze niemało umiejących grać na rozmaitych instrumentach. Bywały na murawie i pląsy chłopców ze sobą; czasami jednak na majówkę uczniowską przybywała i pani K. ze swoją pensyą panieńską.

„Biesiady" był to obyczaj mniej jeszcze od majówek znany i zupełniej jeszcze zaginiony. Było mianowicie we zwyczaju, że ostatnia lekcya każdego profesora, i to nietylko ostatnia w roku szkolnym, ale także przed świętami Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy, była obracana na „świąteczną biesiadę". W tym celu książki i kajeta szły w kąt i uczniowie zajmowali się upiększeniem i przyozdobieniem swej klasy.

Znoszono więc z domu dywany, zwierciadła, obrazy, kwiaty, upinano girlandy i festony z zieleni, zawieszano firanki i portyery i w tak wspaniale przyozdobionej klasie odbywała się „biesiada", która była tylko przyjacielską pogadanką z profesorem. Pogadanka ta nie miała nic wspólnego z urzędowemi wykładami, a dowiadywaliśmy się tu często wielu nowych rzeczy lub w całkiem innem świetle od zwyczajnego wykładu rocznego.

Nie z każdym, oczywiście, nauczycielem i nie we wszystkich klasach jednakowo mogły odbywać się owe „biesiady".

II.

STEFUŚ MYDEŁKO.

Będąc w szkołach Słuckich miałem kolegę Dobrodziejewskiego. Był to już chłop pod wąsem i najstarsi uczniowie takim go już pamiętali. Szeptano po cichu, że Stefusiowi dawno już czas pomyśleć o ożeniaczce, dowcipnisie utrzymywali, że miał żonę, a nawet że był już wdowcem. Nadano mu przezwisko „Mydełko" może z powodu, że posiadał zawsze kolekcyą pachnących mydeł, makasarów i fiksatuarów, gdyż dbał wielce o powierzchowność i o toaletę. Od niepamiętnych czasów przesiadywał po parę lat w każdej klasie, tak, że nie było prawie ucznia poczynając od najmniejszych i kończąc najstarszymi, którzy choćby przez rok jeden nie szczycili się jego koleżeństwem.

Wtedy bowiem nie tak jeszcze ściśle na to zważano, ile lat uczeń w klasie przebywa, a zresztą istniały zawsze sposoby i sposobiki jak np. długotrwała choroba, opuszczenie szkoły na rok lub dłużej i t. d. Z powodu swego wieku i wyglądu, Mydełko był w każdej klasie „tatkiem", zwanym też niekiedy „dziadzią". Było to stanowisko nieurzędowe, honorowe, niejako z natury rzeczy i zgodą powszechną Dobrodziejskiemu przyznawane. Taki tatko lub dziadzio uważał się za przedstawiciela klasy i brał żywo do serca wszystkie jej interesa. On to najczęściej przynosił książki do czytania w klasie profesorowi B., on zajmował się fabrykacyą biletów i podziałem ich na „części" o czem mówiłem powyżej, on przy końcu ostatniej lekcyi obchodził poważnie klasy, zbierając dzienniki i odnosząc je do kancelaryi szkolnej, jego to niekiedy spotykał nawet ten zaszczyt, że zastępował w klasach najniższych nieobecnego profesora, do czego zwykle inspektor wybierał uczniów najstarszych i najpoważniejszych.

Tatko Mydełko brał także w swoją opiekę prześladowanych przez kolegów malców i nowicyuszów

a opieka to była skuteczna, gdyż i wzrost i siłę posiadał nielada i wszyscy go się obawiali.

Nad nauką zbytecznie głowy sobie nie suszył: zwykle w pierwszym roku pobytu w klasie nie robił nic zgoła, w drugim roku dopiero zaczynał brać się do książki, a w trzecim lub czwartym uczył się z konieczności tyle, że aż znudzeni profesorowie dawali mu z łaski promocyą do klasy następnej. U nauczycieli miał także pewne zachowanie, gdyż był pokorny, skromny i grzeczny, a prowadził się przykładnie.

Mydełko, jak mówiłem dbał wielce o swą powierzchowność, gdyż ta z natury wielkiej dbałości wymagała. Był bowiem bardzo brzydki: rudy, ospowaty, o niepewnego koloru oczach, o szerokim nosie i takichże ustach. Dlatego może przepadał za ładnymi i tych ze swoich kolegów, którzy odznaczali się powierzchownością, męczył pieszczotami i całusami. Włosy nosił krótko, według wymagań, obcięte; pozwalał sobie jednak niekiedy kołnierzyków i muskał wąsiki a chociaż te ostatnie były regulaminem wzbronione, dyrektor Ł. patrzał na nie przez szpary, zapewne przypuszczając, że uczeń nie powinien się golić, gdyż w takim razie wąsy mogłyby nawet wkrótce przewyższyć swemi rozmiarami pierwszy a skromny jeszcze zarost.

Mydełko był ubogi, choć pochodził z rodziny niegdyś zamożnej.

Utrzymywał się więc jako tako, zarabiając nie korepetycyami, bo do tych go nie używano, ale oprawianiem książek i obrazków, gdyż posiadał sztukę introligatorską, umiejętność oprawiania i wyklejania pudełek.

Więcej zbywało mu na chęci do nauki niż na zdolnościach. Zdarzało się bowiem nieraz, że w czasie jednego z rzadkich napadów pilności, uczył się wcale dobrze przez jaki tydzień lub miesiąc, pomimo że książek nie miał żadnych, z powodu ubóstwa, jak mawiał, lecz pożyczał od kolegów albo też (co szczególniej lubił) chadzał do nich, ażeby uczyć się razem. Zabawnie wyglądała nieraz taka wspólna nauka wąsatego drągala i malutkiego chłopaczka, który nieraz prędzej i łatwiej pojmował niż tatuś Mydełko. Częstokroć, oczywiście, nieproszony ten towarzysz nauki, tylko przeszkadzał lub zamiast lekcyi opowiadał kolegom różne historyjki.

Umiał zaś opowiadać dobrze i zajmująco, mieszając rzeczywistość z cudownemi wymysłami, a opowiadania te zdradzały wiele rozmaitych wiadomości, które niewiedzieć zkąd nabył, gdyż czytaniem niebardzo się bawił.

Długi i stały pobyt Dobrodziejskiego w szkołach słuckich był powodem, że niektórzy starsi uczenie nazywali go „wiecznym uczniem", a od tego przezwiska do modnego wtedy „wiecznego żyda tułacza" — krok tylko. Słysząc to, Mydełko śmiał się dobrodusznie i godząc się z przezwiskiem opowiadał nam często historyjki, w których prawił o swoich przygodach, które spotykały go od wieków w różnych szkołach, gdyż rzekomo już nie pamiętał, od wielu stuleci był uczniem.

„Nie jestem tego pewny — prawił — ale zdaje mi się, że najpierwsza szkoła, w której siebie pamiętam, była w Egipcie za czasów jednego z Faraonów. Zbroiłem tam coś podobno: zdaje się, że nastąpiłem na ogon świętej kotce czy też wyśmiałem kapłana, który biedaczysko, musiał sobie ogolić nawet brwi, rzęsy i parę włosów, wyglądających z nozdrzy, gdyż księżom tamecznym nie wolno było mieć ani jednego włoska na całem ciele. Za te psoty chcieli ze mnie zrobić mumią, ale uciekłem. Później chodziłem do szkoły żydowskiej w Jerozolimie i gryzłem talmud zawzięcie, ale nie szło mi jakoś, gdyż na egzaminach nigdy nie mogłem spamiętać, ile to mianowicie dusz żydowskich, gotowych do wypuszczenia na świat, trzyma Bóg w swojej śpiżarni, zwanej Gif i zawsze zapominałem, po ile funtów solonego mięsa z Lewiatana zamierza Pan Bóg rozdać żydkom w dzień sądu ostatecznego. Potem pamiętam siebie w jakiejś szkole chińskiej, ale to wiem dobrze, że nie byłem Chińczykiem, jak nie byli chińczykami ani moi koledzy, ani nauczyciele, chociaż po chińsku uczyli. Niewiele tam więc mogliśmy skorzystać; dowiedziałem się tylko jednej rzeczy od bardzo uczonego profesora, a mianowicie, że język chiński powinien być wykładany dla Chińczyków nie po chińsku, ale po japońsku. Musiało upłynąć znowu lat kilkaset, aż oto znalazłem się, jako uczeń w wielkiem mieście, uczonymi Grekami napełnionem. Mniemam, że musiałem wtedy wybornie rozumieć i mówić po grecku, czego jakoś dziś żadnych śladów nie pozostało, gdyż dalej nad alpha, beta, gamma, detta nic już nie wiem. Otóż w owem mieście, zwanem podobno Aleksandryą, uczyła nas jakaś piękna i mądra panna.

Niedługo to jednak trwało, gdyż pannę zabili kijami mnisi; czego od niej chcieli — tego dobrze nie wiem, ale może nie lubili jej za to, że nie chciała zostać mniszką. Potem jakoś szkoły pozamykali i niepozwolili uczyć się, a w sto lat lub więcej później znalazłem się w jakiejś szkole arabskiej. Poczciwi ci Arabowie uczyli tylko swojej świętej księgi, Koranem zwanej, utrzymując, że wszystkie inne nauki i wiadomości zawierają się w tej księdze, a to, czego tam nie ma, jest niepotrzebne i szkodliwe. Niebardzo mi jednak podobała się ta nauka, bo nie mogłem uwierzyć, ażeby istotnie Koran był przyniesiony Mahometowi z nieba przez archanioła Gabryela: nie zdawało mi się bowiem, żeby w niebie były papiernie i żeby tam istnieli introligatorowie. Za to niedowiarstwo pewno skarał mnie Allah, dziś zmuszając trudnić się introligatorstwem. Później, w parę stuleci, byłem znowu uczniem w jakiejś szkole, gdzie uczono filozofii, nazwanej potem scholastyką, ale nie była ona w niczem podobna do ładnej panny Scholastyki, wiecie, tej kuzynki naszego prefekta.

W tej tedy scholastyce wyćwiczyłem się znakomicie (rózgami też niemniej ćwiczono), tak że zyskałem nawet pewną sławę długiemi dysputami „o niczem" i umiałem mądrze dowodzić, czy osieł pierwej zwróci się do kubła z owsem na prawo, czy też do wiązki siana na lewo; niemniej subtelnie pracowałem nad kwestyą, czy Pan Bóg może przemienić się w ogórek.

Ostatnie lat kilkaset pamiętam najlepiej, ale zadługo byłoby wam teraz o tem opowiadać, gdzie byłem i czego się uczyłem; muszę to kiedyś obszernie w kilku tomach opisać, ale nieprędzej, aż wtedy, gdy choć raz mi się uda skończyć choć te nasze liche szkoły, czego mi dotąd los nigdy nie dozwolił. Powiem więc tylko, że bywałem żakiem w naszych dawnych szkołach i biegałem po żebraninie z garnuszkiem, zwłaszcza na kolędę wyśpiewując piękne wiersze, w których prosiłem o:

Kaczkę do rosołu, sztukę mięsa z wołu,

i upominałem gospodynię:

Zważ w jakim to czasie i daj dwie kiełbasie i t. d.

Tu zaś w Słucku, jak wiecie, jestem od niepamiętnych czasów.

Pamiętam, gdy stawiano farę, pamiętam początki kalwiństwa i pierwszą kirkę ze żłóbkami dla kobyłek... Eh, a toć gdy księżna Olelkowiczówna broniła zamku słuckiego, raz przeciwko Tatarom a drugi raz przeciwko Glińskiemu, ja byłem bursakiem w seminaryum na Trojczanach, ale księdzem zostać nie chciałem, bo namnożyło się kalwinów i koło księży było kuso... Ze wszystkimi dzisiejszymi profesorami, ba nawet z ich dziadkami i pradziadkami, kolegowałem. Pamiętam tłustego Cz. od dziecka, kiedy to, rzecz dziwna, był tak chudy jak nitka..."

Najchętniej prawił nam Mydełko o swoim dziadku, oddawna już zmarłym panu podstolim; była to zaś osobistość znana i szeroko słynna na Litwie z oryginalności, dziwactw, bogactw i skąpstwa.

„Pan Podstoli — mówił Stefuś — był niezmiernie roztargniony, tak, że często wsiadał do cudzego powozu, wyjeżdżał bez kapelusza, a w mieście, ile razy bywał, zawsze powracał do cudzego numeru w hotelu i najczęściej tam noc przepędzał, przez grzeczność nie turbowany. Nosił się elegancko i prezentował się pokaźnie, ale w domu chadzał, jak żebrak, a stangretowi i lokajowi natychmiast kazał zdejmować liberyą i obuwie i przywdziewać długie świty ze zgrzebnego płótna. Oprócz tych dwóch ludzi, żadnej innej posługi nie trzymał. Powiadają, że jeść sam sobie gotował, a obiad jego składał się zwykle z marchwi gotowanej, słoniną okraszonej i klusek na wodzie lub mleku. Wykwintne obiady jadał tylko u sąsiadów, przez których wogóle był dobrze widziany i lubiony dla wesołości i dowcipu. Po za domem też tylko pijał wino, a gdy mówiono, jaki kto lubi wina gatunek, pan podstoli oświadczał, że najlepiej lubi wino „cudze".

Miary w trunku nie przebierał nigdy, utrzymując że skoro już z urzędu jest *podstolim*, nie potrzebuje, aby go aż nadmierne użycie wina *pod stół* sprowadzało, co trafiało się niekiedy z jego spółbiesiadnikami np. w słynnym z hulanek domu pana O. w Dukorze: o którym, po śmierci O. znany humorzysta Legatowicz ułożył epigramat:

Śmierć O. w Dukarze sprawi zmianę znaczną,
Panowie pić przestaną, a chłopi jeść zaczną.

Pan Podstoli miał ładną wioskę i powszechnie utrzymywano, że posiadał znaczne pieniądze, co i sam przyznawał, ale dodając, że to nie jego własność. W ostatnich latach życia mieszkał sam, ale o dawnych jego dziejach wiele opowiadano, również jak o owych skarbach. Sknerstwo swoje przedstawiał pan podstoli, jako jakieś poświęcenie się, ofiarę czy ślub, przytem poczuwał się do tej wady i sam z niej często żartował. Mówią, że skąpstwo i chciwość posuwał do tego stopnia, że od stróżów nocnych czyli „wartowników", którzy z obowiązku pańszczyzny musieli kolejno stawić się we dworze, brał po dziesięć groszy za uwolnienie ich od tego obowiązku, po czem sam obchodził podwórze i budynki i to po kilka razy śród nocy zimowych, a że psów nie trzymał, niekiedy więc sam i poszczekiwał, wybornie naśladując głos podwórzowych brytanów."

Stefuś przysięgał, że te i podobne szczegóły o panu podstolim były najczystszą prawdą: istotnie wiedzieliśmy mniej więcej, o tem wszyscy, z wieści i tradycyi. Niekiedy jednak nasz koleżka mieszał do swego opowiadania rzeczy fanta-

styczne i cudowne, w czem był może także odgłos przekonań ludowych i poglądów na masonów, do których pan podstoli niegdyś należał.

„Dziadek mój — prawił Stefuś — był długo masonem, ale później wyrzekł się czarta i nawrócił. Więcie, że w Słucku są dotychczas dwa opuszczone gmachy: jeden na Trojczanach, a drugi przy ulicy Sądowej, które należały do masonów. Dziś stoją pustką i rozsypują się w gruzy, chociaż są pięknie zbudowane, obszerne, z oficynami i stajniami, gdyż nikt tam po masonach mieszkać nie chciał. Zbierali się tam najczęściej nocami, ale co robili — niewiadomo, gdyż był to wielki sekret, za przełamanie którego masoni zdrajcę zamurowali żywcem i dlatego podobno nazywali się masonami, co po francuzku znaczy „murarze" (na Litwie „mularze").

Zdaje się jednak rzeczą pewną, że odbywali tam schadzki z dyabłem i że przy pomocy dyabła mogli zalecieć gdzie im się podobało, widzieć wszystko, co chcieli i doznawać wszelkich przyjemności, o jakich tylko zamarzyli. Była to cena, przez dyabła za ich dusze ofiarowana...

Wiadomo, że przed śmiercią wszyscy masoni doznawali okropnych męczarni i każdy z nich koniecznie kończył życie w kominie, dokąd właził opuszczony przez wszystkich, wydając okropne ryki i przekleństwa. Otóż pan podstoli, nie chcąc konać w kominie, postanowił porzucić masoństwo i wyrzec się dyabła. Przybywszy więc do Słucka, udał się w czasie procesyi Bożego Ciała na dzwonicę fary i tam zaczął się modlić ukryty pod dzwonem, dla ochrony zaś od dyabła postawił przed sobą miskę z wodą, a na powierzchni wody poukładał słomki w kształcie krzyżyków.

Dyabeł, jak tylko posłyszał modlitwę podstolego, wpadł w okropną wściekłość, a że wtedy właśnie znajdował się na dzwonicy kościoła kalwińskiego, rzucił się więc jednym skokiem przez rzekę na dzwonicę farną, ale pana podstolego schwytać nie mógł, ani nawet przybliżyć się do dzwonu, gdyż broniły mu tego krzyżyki ze słomy i byłby utonął w misce wody, gdyby się do niej przybliżył. Nie mógł więc nic innego uczynić, jak wypuścić strzałę, która w dzwon uderzyła i zrobiła w nim szczerbę, ale pana podstolego nie dosięgła. Dzwon pozostał szczerbatym do dziś dnia (każdy z was może to sprawdzić), a pan podstoli nawrócony, pozostał już bezpiecznym od złości i przemocy dyabelskiej. Na pamiątkę zaś swego nawrócenia i ocalenia, co roku w rocznicę tego wypadku, a mianowicie w dzień Bożego Ciała, sam dzwonił zawsze w ten dzwon na procesyą, co wielu ludzi własnemi oczami oglądało.

Nie umarł więc pan podstoli w kominie, ale spokojnie w łóżku, jak wszyscy porządni ludzie."

(*D. c. n.*)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Józef Grajnert. Nowe powiastki historyczne dla młodzieży i ludu naszego.

Książeczka ta niewielkiej obszerności, mieści w sobie dwie powiastki, jedna opowiada wypadki Szymona Stęporka, druga Witka Kujawiaka.

Stęporka spotykają różne przygody na ziemi węgierskiej podczas ostatniej wojny z Austryą. Witek Kujawiak jest landwerzystą pruskim i w roku 1870 znajdował się pod Paryżem.

W obu tych powiastkach dążność i treść najpoczciwsza i starania wielkie, aby je uczynić o ile można dramatycznemi i zaciekawiającemi. Radzilibyśmy tylko Autorowi, aby się wyłącznie trzymał dziejów naszych a przynajmniej przeważnie na ich tle rozwijał swoją pracę.

Dr. H. Wald. O Sympatyi, przełożył Jakób Goldszmit. Warszawa, 1883 r.

Arcy popularnie nakreślony wykład „o Sympatyi", zawiera w sobie wiele zajmujących faktów dziejowych i spostrzeżeń psychologicznych. Rzecz cała jako przez psychologa napisana jest dobra i czyta się z wielkiem zajęciem, obznajmiając nas z właściwemi powodami sympatyi, która przedstawia się nam jako „najważniejsze ze wszystkich ludzkich uczuć, najgłębsza podstawa wszystkich prawie cnót."

Tak tłomaczenie jak i zewnętrzna forma wydawnicza nic nie pozostawiają do życzenia.

Dr. J. Polak. O znaczeniu sztuki lekarskiej i o stanowisku lekarzy. Warszawa, 1883 r.

Powyższa książeczka drukowana na blado żółtym papierze a to na wyraźne żądanie autora, ze względu na wzrok, osłabiający się czytaniem dzieł drukowanych na papierze białym, w całym swoim układzie i treści przedstawia się bardzo ponętnie. Z książeczki tej dowiadujemy się, jakie jest znaczenie sztuki lekarskiej i jakie jest stanowisko lekarza spełniającego sumiennie obowiązki, których wykonywanie zaprzysiągł. Dowiadujemy się też również o różnych taksach lekarskich, jako też i innych rzeczach mniej znanych, a które znać należy. Praca D-ra Polaka napisana dobrze, aczkolwiek nie wszędzie zgodzić się można z wywodami szanownego autora, osobom interesującym kwestyą lekarską, jakoteż i samym pp. lekarzom śmiało zaleconą być może.

Ks. Kaszewski Leon. Mały Katechizm dla młodzieży Rzymsko-katolickiej. Lublin, 1883 r. Cena kop. 10.

Wśród licznych katechizmów: małych, mniejszych i najmniejszych dla użytku ludu, mimo że wszystkie obejmują jedną i tę samą naukę, niniejszy wybitnie odróżnia się od wszystkich innych tem, że jest „prawdziwie" dla ludu, mimo że szanowny autor tego nie wyraził na tytule.

Wyraz skreślający „młodzież" jest zbyt elastyczny i oznacza nietylko młodzież uczęszczającą do szkółek elementarnych wiejskich i do gimnazyów, lecz także i tę, która nie pobierając żadnych nauk bywą tylko w kościele i tam uczy się słowa Bożego: o ile zaś z całego układu katechizmu ks. Kaszewskiego sądzić możemy, to głównie dla tej „młodzieży" katechizm swój przeznaczył.

Pytania i odpowiedzi trafnie przeprowadzone i zastosowane do pojęć zupełnie lub też mało oświeconego ludu, język czysty lecz niemal ludowy, wady i błędy nieoświeconej klasy wytknięte nadzwyczaj zrozumiale, wyłożony wstęp, jakoteż całość tego katechizmu stanowią wielką jego zaletę i pozwalają uważać go jako podręcznik dla wykładającego tę naukę.

Kvety z polskych luhu (Kwiaty z polskich łanów. Wybór najcelniejszych utworów poetów polskich, przekładu Jana Neczasa) „v Praze u J. R. Vilimka. 1883 r."

Jest to świeżo co wydaną w czeskiej Pradze pierwsza serya wyboru poezyi polskich. Staraniem zacnej firmy J. R. Vilimka, wydawnictwo pomienione odznacza się nietylko wielką starannością lecz i ozdobnością. Poszyty ozdobione są portretami poetów polskich z dodaniem krótkiego życiorysu obznajmiającego Czechów z ich działalnością.

Z wydawnictwa tego jak dotąd wyszły dopiero cztery poszyty zawierające utwory *Syrokomli* (Spór o miedzę, Pan Marek w piekle, Żebrak fundator); *Ujejskiego* (Wybór poezyi); *Gaszyńskiego*, *Mickiewicz i Odyniec* (Tukaj, balada).

Przekład jest wierny i nic do życzenia nie pozostawiający, z całą też radością witamy to wydawnictwo, które da możność pobratymcom naszym poznać, piękności poezyi naszej.

S. Dickstein. O muzeach pedagogicznych słów kilka, bez miejsca druku i daty.

Na ośmio kartkowej broszurce, znany pedagog podaje w streszczeniu wiadomości dotyczące muzeów pedagogicznych istniejących w Galicyi, Zurychu, Petersburgu, Paryżu i t. d., dodając zarazem projekt utworzenia takiego muzeum w murach naszego miasta, pod egidą warszawskiego muzeum przemysłowego, do którego zwraca się z gorącą odezwą.

Szczawnica. Sprawozdanie komitetu administracyjnego dla Zakładu zdrojowego w Szczawnicy. O zarządzie tegoż zakładu. Kraków, 1882 roku.

Z broszurki tej dowiadujemy się o przebiegu sprawy dotyczącej zapisu ś. p. Józefa Szalaja, dokonanego na rzecz akademii umiejętności w Krakowie, o ułożeniu się z synami zmarłego i o przepisie całego zakładu kąpielowego w Szczawnicy na niepodzielną własność tejże akademii.

Z tego sprawozdania dowiadujemy się również co zarząd Szczawnicki od roku 1876 po rok 1883 zdziałał i co nadal działać zamierza, celem podniesienia zakładu kąpielowego i postawienia go na stopie pierwszorzędnych europejskich kąpielowych zakładów.

I. Iwaninkow. Główne zasady teoryi Polityki Ekonomicznej od Adama Smitha do teraźniejszych czasów. Z drugiego rosyjskiego wydania, staraniem i nakładem studentów Instytutu agronomicznego w Puławach. Warszawa, 1883 r.

Powyższe dziełko w przekładzie dokonanym przez studentów agronomicznego instytutu w Puławach, jest pracą jednego ze zdolniejszych ekonomistów rosyjskich młodej szkoły.

Wedle twierdzeń tłomaczy, jest to nieoceniony podręcznik dla każdego kto chce zaznajomić się z teoryą ekonomii i ze stanem obecnym tej nauki. Autor traktując rzecz przedmiotowo wolnym jest od wszelkiej stronniczości, oceniając więc teorye ekonomistów wykazuje błędy szkół dotyczasowych tak wolnomyślnej (liberalnej) jak i społeczno-towarzyskiej (socyalnej). Zaletami książki tej są łatwość i przystępność wykładu od początku do końca a to prowadzonego według jednej przewodniej myśli, logicznie wyrozumowanej i rzeczywistymi dowodami popartej.

P. Iwaninkow profesor piotrowskiej akademii rolniczej, rzuciwszy we wstępie ogólny rys i pojęcia o nauce gospodarstwa narodowego, przychodzi do tego wniosku iż „teorye wyłożone w tem dziele mimo, iż zrodziły się na gruncie zachodnio-europejskiego życia, jednak posiadają ogromne znaczenie praktyczne i dla nas (?) bo wyświetlają drogę naszego własnego rozwoju przyszłego."

W czterech następnych rozdziałach idzie wykład prawideł od Adama Smitha począwszy, aż do urządzenia gospodarstwa narodowego wedle zasad szkoły realistycznej. Poglądy autora są tu jasne, wykazujące zgubność zachcianek niewyko-

nalnych a mogących przyczynić się nie do rozwoju ludzkości lecz do moralnego fizycznego i umysłowego upadku.

Tłomaczenie mimo, że dokonane przez Polaków, grzeszy mnogą ilością obcych naleciałości pod względem językowym.

Stanley-Jevons. Ekonomia polityczna, przekład z angielskiego. Warszawa, 1883 r.

Druga to książeczka z zapowiedzianego wydawnictwa „Wędrowca", mającego na celu dać czytelnikowi podstawę do sądzenia o współczesnych kwestyach fizyczno-naukowych.

Rzecz opracowana jest dobrze i nadzwyczaj przystępnie a niewdając się w szczegółowe rozumowania, zasady gospodarstwa politycznego przedstawia treściwie i zrozumiale. Tłomaczenie dobre.

Krótki zarys monografii rodziny Duninów-Wąsowiczów (z wielkiego Skrzynna i Smogorzewa) herbu Łabędź. (Odbitka w 30 egzemplarzach z V tomu „księgi złotej szlachty polskiej" z portretem Stanisława hr. Dunin-Wąsowicza, gener. b. w. polsk.). Lwów 1883 r.

Na 21 stronicach ozdobnego wydania, pomieszczoną jest historya i genealogia rodziny wymienionej w tytule. Dzieje rodzin stanowią dzieje narodu. Otóż nie bierzemy za złe wydawnictwo takich monografii, które dostarczyć mogą materyału do dziejów narodowych i do liczby tej zaliczamy powyższy. Zbyt mała liczba odbitek pracę tę redukuje do znaczenia rodzinno-pamiątkowego i dlatego nie wchodząc w bliższy krytyczny rozbiór tej pracy, poprzestajemy na tej krótkiej wzmiance.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Komitet pomnika Chrzanowskiej w Trembowli, uchwalił większością głosów na ostatniem zebraniu, że pomnik stanąć ma nie na ruinach zamkowych i nie na górze „Pokrówce" jak pierwotnie zamierzono, lecz w mieście, wpośród ogrodu publicznego, mającego założyć się w tym celu. Mniejszość nie zgodziła się na to i nie odstępując od dawnego wniosku, pragnie by pomnik wzniesiony został na zwaliskach zamku, jako w miejscu dokonania bohaterskiego czynu. Po szczegółowych rozprawach, komitet postanowił: 1. Zakupić plac przy głównej ulicy naprzeciw apteki. 2. Zwrócić się do rady gminnej miasta Trembowli z prośbą o bezpłatne odstąpienie przyległego placu miejskiego dla rozszerzenia ogrodu. 3. Objąć place w posiadanie i oznaczyć je słupkami granicznemi. W końcu uchwalił komitet aby postarać się o nowe plany na pomnik w drodze odwołania się do ofiarności architektów i inżynierów krajowych, ze względu, że fundusz zebrany na pomnik jest bardzo szczupły, albowiem wynosi tylko 5,400 złr.

*** Znany pisarz dziejów oświaty, Wilhelm Richl, zjechawszy do Wiednia na zaproszenie Towarzystwa zwolenników literatury, miał bardzo zajmujący odczyt o kobiecie jako artystce. Oddawszy hołd talentowi i usiłowaniom płci niewieściej w rozmaitych gałęziach sztuki, zastanawiał się nad pytaniem, czy talent niewieści ma pewny obręb od natury zakreślony, którego kobiecie przekraczać niewolno i wywnioskował, że tak jest istotnie. Prelegent wypowiedział wiele trafnych uwag i wywody swoje popierał dość przekonywającemi dowodami — niepodobna jednak zgodzić się na wszystkie jego wnioski.

Więcej jak pewno, że talent każdego człowieka ma sferę właściwą, której nie należy przekraczać, ale niesłusznem byłoby ograniczenie całej płci w jej popędach twórczych. Richl odmawia kobiecie zdolności do utworzenia epopei i wszystkiego co ma z nią związek, a więc do malowania obrazów historycznych, komponowania oratoryi i t. p. Choć to niby prawda, że nie ma nic nowego pod słońcem, przecież my w końcu bieżącego stulecia widzieliśmy nie jeden objaw o którym żyjącym przed nami nie marzyło się nawet. Kobiety rozwinęły taką działalność, tyle dokonały po za obrębem sfery zwyczajnej, iż kto wie czy gdy przyjdzie pora pisania epopei, kobiety nie staną już tak wysoko, aby któraś z nich ułożyć ją mogła.

Zresztą Richl mówił głównie o Niemkach i w Niemczech tylko zbierał swoje spostrzeżenia, a nie wszystkie kobiety tego świata są takie jak Niemki; żyją one przedewszystkiem teraźniejszością i nic nie widzą po za nią. Przyszłość o tyle je tylko obchodzi o ile instynkt zachowawczy myśléć o niej nakazuje — do przeszłości nie zwykły zwracać się duchem. U nas inaczej. Prawda że kobiety nasze nie napisały jeszcze także epopei doskonałej, ale mieliśmy na tem polu wiele obiecujące próby ich talentu, a ileż to było u nas kobiet będących uosobionemi epopejami. Któż jeśli nie matki urabiały bohaterskie serca przodków naszych ustnemi rapsodami i epopejami, nie ustępującemi homerowskim.

*** W Londynie, w teatrze „Lyceum" wszystkie drzwi w sali i za kulisami mają być pomalowane według nowo wynalezionego systemu Balmaine'a, zasadzającego się na tem, że farba ta błyszczy w ciemności jak światło, więc w razie pożaru, gdyby światła zagasły, a mianowicie gaz, jak się to często zdarza, wyjścia byłyby widzialne, co ułatwiałoby opuszczenie teatru.

*** Na tegorocznej wystawie holenderskiej w Amsterdamie ściąga tłumy ciekawych osobny pawilon z dyamentami. Przez lat 200 Amsterdam posiadał monopol obrabiania dyamentów, aż do odkrycia południowo afrykańskich pól dyamentowych przed laty dwunastu. Wtedy przy ogromnym napływie surowego materyału, a braku rąk do jego obrobienia, zdolni szlifierze zarabiali 500 do 600 fr. tygodniowo i w ciągu pierwszych lat obrobiono dyamentów za 300 milionów florenów. Gdy jednakże namnożyło się robotników a zarobek zaczął się obniżać, wielu z nich przeniosło się do Paryża i Londynu i monopol amsterdamski upadł. Pomimo to miejscowe zakłady dotąd jeszcze zatrudniają przeszło 6,000 robotników, przeważnie Izraelitów. Pawilon z dyamentami zawiera ogromne skarby, dla których zabezpieczenia obmyślono bardzo dowcipne środki. Witryny z okazami za grubem szkłem są tak urządzone, że za najlżejszem poruszeniem zapadają się pod ziemię, zaś na wypadek ognia, dozorca potrzebuje tylko nacisnąć gałkę mechanizmu, który w ciągu trzech sekund wszystkie witryny przenosi do podziemnej skrzyni ogniotrwałej i zamyka ją hermetycznie. Tym sposobem właściciele dyamentów nie potrzebują obawiać się ani ognia ani złodzieja.

Wpośród wystawionych przedmiotów przeważają ozdoby do stroju damskiego, jak naszyjniki, bransolety, dyademy, pierścienie, krzyże, kolczyki, gwiazdy, medaliony i t. p. Szczególniejszą zwracają na siebie uwagę portrety króla holenderskiego i królowej Wiktoryi, grawirowane na dyamencie, fotografie w bogatych ramach obsadzonych drogiemi kamieniami, głowy Egipcyanki i holenderskiej dziewczyny lśniące od ozdób, kwiaty i całe bukiety z brylantów, prześliczne wachlarze, etc. Piękność obrobienia i wartość okazów, oceniać mogą tylko znawcy, ale wszyscy wogóle podziwiają prześliczny blask i grę światła i przed pawilonem tworzy się zawsze długi szereg oczekujących kolei. W szlifierni urządzonej przy wystawie, robotnicy obrabiają dyamenty w oczach publiczności, począwszy od surowych kamieni, aż do najsubtelniejszego ich wykończenia, tak, że w ciągu 10 minut, odwiedzający mogą powziąć wyobrażenie o całej tej pracy.

*** Inżynier Friedländer w Wiedniu robił w tych dniach próby z elektrycznem oświetleniem powozów, i w tym celu wyjechał na miasto pójazdem, którego latarnie oświetlone latarniami z zarzącemi lampami o sile pięciu świec, jasne rzucały światło. Dotąd posługuje się p. Fr. małym akumulatorem umieszczonym u nóg woźnicy; waży on tylko 18 kil. i jest łatwo przenośny. Urządzenie zdaje się być bardzo prostem i woźnica może za pomocą korby zapalić lub zgasić światło. Oświetlenie takie byłoby nader pożyteczne szczególniej dla jeżdżących nocą i często po złych drogach, gdzie prąd wiatru lub słota gasząc świece w latarniach, podróżnych na różne naraża wypadki. Zdaje się pomyślnie odbyte próby w Wiedniu, najpierw w tej stolicy a następnie i wszędzie rozpowszechnią ten wynalazek.

*** W Anglii zaczęto zastępować wapnem z bardzo pomyślnym skutkiem używane dotychczas ciała wybuchające przy łamaniu węgla w kopalniach. W kopalniach których ściany nie przedstawiają wyjątkowej trudności, kartusze wapienne wejdą niebawem w użycie. Zastosowanie to opiera się na własności jaką posiada wapno niegaszone ściśnięte. Wapno takie zwiększa znacznie swą objętość w zetknięciu się z wodą i staje się nadzwyczaj rozprężliwem. W kopalniach używają go w sposób następujący:

Najpierw robią się świdrem na metr głębokie wydrążenia w ścianie, odległe od siebie na 1 i pół metra, a szerokie na 7 cent. następnie w wydrążenia te wkłada się naboje z wapna niegaszonego. Przez całą długość naboju idzie rynienka, do której dochodzi rurka żelazna, opatrzona kurkiem. Po naładowaniu ściany nabojami, robotnicy wpuszczają wodę do ogólnej rynienki i zakręcają kurki. Wkrótce wapno zaczyna się rozprężać i wyłamywać ogromne bryły węgla, wtedy robotnicy rozbijają je nie narażając się na żadne niebezpieczeństwa, jak to miewa miejsce przy posługiwaniu się dynamitem.

*** Pan Borrety odkrył w obserwatoryum Marsylskiem z dnia 11 na 12 maja, nowego planetę, który w swym stanie obecnym wyrównywa gwiaździe jedenastej wielkości, i jest 233 z rzędu w liczbie znanych asteroid, znajdujących się między Marsem a Jowiszem.

NOWE WYDAWNICTWA.

Encyklopedyi wychowawczej wyszedł zeszyt pierwszy tomu trzeciego i obejmuje: Ćwiczenie mowy przez Wł. Nowickiego. Ćwiczenia zmysłów, Cynizm przez J. O. Czacki przez Piotra Chmielowskiego (początek). Każdy zeszyt na miejscu kosztuje kop. 40, z przesyłką pocztową kop. 50. Tomy pierwszy i drugi obejmują przeszło 80 arkuszy druku, kosztują rs. 10, z przesyłką rs. 10 kop. 60.

Wydawnictwa księgarni krajowej Konrada Prószyńskiego. Sad przy chacie, napisał Edmund Jankowski autor Sadu i ogrodu owocowego, objaśnione 22 drzeworytami i planami sadów. Jest to dziełko wybornie napisane, jasno, zrozumiale, ze znajomością dokładną przedmiotu, tak że każdy trzymając się tylko wskazówek w niem pomieszczonych, nietylko w jak najprędszym czasie do sadu owocowego przyjść może, ale i owoców doczekać się wybornych.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu W. B. W wierszyku „Z pieśni uczuć“ są pewne usterki w formie. Myśl w nim dobrą ale obrazowanie zbyt szorstkie i brak w niem pewnej całości, związku początku z końcem.

Pani Emilii B. przez Winnicę. Maści pani Bagieńskiej, której przepis był pomieszczony w N-rze 18 Tygodniku i w Przyjacielu, Redakcya nie przedaje. Udzielała jej tylko bezpłatnie po małej cząstce zgłaszającym się w miejscu, ale zapas posiadany z ofiary p. Bagieńskiej już wyczerpała. Może jednak zaręczyć za jej najlepszą skuteczność i że zrobienie jej według przepisu na żaden zawód nie narazi. Przesłany rubel pozostaje w Redakcyi do dalszego rozporządzenia.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 9 Іюня 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

STARY ZAMEK.

(La Lizardiere).

ROMANS WSPÓŁCZESNY

przez

Wicehrabiego Henryka de Bornier.

Przekład J. B.

(Dalszy ciąg.)

W tej chwili Marylka ujęła rękę Jana i patrząc mu się w oczy zapytała z jakąś tajemniczą miną:

— Powiedz mi, kuzynku Janie, dla czego wczoraj przy końcu obiadu tak marszczyłeś brwi mówiąc z panną Rajmundą?

Jan zaczerwienił się i nic nie odpowiedział; Krystyna uśmiechnęła się mówiąc:

— Oj! biada z temi rozpieszczonemi dziećmi! i ja i pewnie więcej osób to zauważyło, ale nie byłabym cię pytała oto, lecz gdy Marylka zaczęła, powiedz mi co masz przeciw pannie Désormes?

— Nic, lub prawie nic; tylko nalegała koniecznie żebym jej sprzedał Lizardière, i odmówiłem, nic to nie pomogło, wtedy nie ukrywałem że natręctwo takie mi się nie podoba — nic więcej.

— No, nie dopuściła się znowu zbyt ciężkiej winy, mój kuzynie.

— Zapewnie, ale jest w niej coś co mi się bardzo nie podoba — chwilami gotówbym ją nienawidzieć.

— Nie miałbyś słuszności, kuzynie. Panna Désormes jest może trochę za imponującą, ale w oczach jej można czytać że ma serce... A potem, wierzaj mi, nigdy młody mężczyzna nie może bez powodu nienawidzić młodej i pięknej dziewczyny... a panna Rajmunda jest śliczną blondynką.

Słońce miało się ku zachodowi, rzucało ponsowe odblaski na las i zarośla.

— Trzeba nam wracać, rzekła hrabina, i zwrócili się ku pałacowi.

Na połowie drogi spotkali hrabiego, który wbrew zwyczajowi głośnym głosem nie zwiastował swego przybycia. Przeciwnie szedł poważny i milczący, i zbliżywszy się do Jana ukłonił się nizko, mówiąc z wielkiem uszanowaniem:

— Witam cię, baronie Sina! witam cię, baronie Rotszyldzie.

— Co to ma znaczyć, Leopoldzie? zapytała hrabina.

— Co to ma znaczyć? oto słuchajcie i uwielbiajcie Opatrzność. Dziś rano przybywam do Baugé o samej dziesiątej. Widząc że mam dość czasu, idę na śniadanie do hotelu Couesnon; podano mi doskonałe karpie z Loary i wino z Saumur. Po śniadaniu udałem się do trybunału, w którym miano sprzedać Lizardière przez licytacyę. Rozpoczęła się też niebawem, i to od bardzo nizkiego szacunku, ze względu nie wielkiej dla skarbu należności.

Zastałem tam pana Dubois, notaryusza z Chateau-la-Valière. Postąpił coś nad szacunek — ja daję wyżej; on upiera się, postępuje coraz wyżej, dość że zacząwszy od trzystu franków, doszliśmy do 15,000 fr. jaką to summę ostatecznie sobie oznaczyłem. Pomimo to, gdy pan Dubois zawołał 16,000 fr. ja nie zastanawiając się powiedziałem 17,000; on postępuje 18,000 fr. i tak podpędzaliśmy się aż do 20,000 fr. Tu już zastanowiłem się że nie mam więcej pieniędzy, i musiałem dać za wygraną choć z bólem serca, bo wiem jak Jan przywiązany jest do Lizardière. Pewny tedy byłem że utrzyma się Dubois czyli raczej jego mocodawca. Dwadzieścia jeden tysięcy fr. po raz pierwszy, drugi, woła woźny, i już miał zawołać: trzeci, gdy w tem ktoś z obecnych odezwał się: Dwadzieścia dwa tysiące fr.

Wszyscy obecni odwrócili głowy, mężczyzna jakiś wstał z krzesła. Cała powierzchowność jego zdradzała Anglika, a ubiór pastora.

— I cóż dalej, Leopoldzie? zapytała hrabina.

— Cóż dalej?... otóż tu właśnie rozpoczyna się dramat. Ochłonąwszy z zadziwienia, notaryusz Dubois, zawołał: Dwadzieścia trzy tysiące franków. — Dwadzieścia cztery, postępuje pastor. — Dwadzieścia pięć. — Dwadzieścia sześć. — I tak prędko i zacięcie podbijali się ciągle. Gdy już doszło do pięćdziesięciu tysięcy franków, sędzia wydelegowany przerwał na chwilę licytacyę, i rzekł zwracając się do Anglika: Daruj pan, ale pragnąłbym wiedzieć jego stan i nazwisko. — Oh! yes, jestem William Smith, pastor i nauczyciel dzieci lady Reed, zamieszkałej obecnie w Tours, w hotelu *Univers*. — Dobrze panie, kończmy licytacyę. — Pięćdziesiąt-dwa tysiące. — Sześćdziesiąt-tysięcy. — I tak podbijając się doszli do stu-tysięcy franków; wtedy pastor zamilkł i usiadł:

— Sto-jeden tysięcy! krzyknął pan Dubois. — Pastor uznał się zwyciężonym. Poraz, pierwszy, drugi, trzeci — i za tę cenę przysądzono Lizardière. I oto, kochany kuzynie, od razu zostałeś bogatym.

— A! cóż mi z tego, kiedy straciłem Lizardière.

— Ależ to wyraźny cud! zawołała Krystyna.

— Jest w tem jakaś tajemnica rzekł Jan zamyślony.

— Otóż, mój chłopcze, znalazłem klucz do niej. Po skończonej licytacyi zapytałem notaryusza dla kogo nabył Lizardière, odpowiedział mi. Dla panny Rajmundy Désormes.

— A! więc to ona! krzyknął Jan, zbladły i drżący; to ona! przeczuwałem to—postawiła na swojem.

— Tak, widać poleciła notaryuszowi aby za jaką bądź cenę nabył Lizardière. Może spodziewała się kupić go taniej, ale że i lady Reede zachciało się nabyć stary zamek, więc trzeba było tak szaloną zań zapłacić cenę, i kochany mój kuzynek odnosi korzyść z tej wojny między Francyą i Anglią. Ale co tobie, Janie, nigdy nie zdarzyło mi się widzieć kogoś przyjmującego dobrą wiadomość z tak pogrobową miną.

— Wierz, kochany kuzynie, że ta posiadłość rodzinna była mi droższą niż życie. W twojem ręku byłby to zakład, w obcem, a mianowicie panny Désormes, jest stanowczo straconą dla mnie — nie mogę mieć nawet nadziei odzyskania jej kiedyś.

— Zapewnie, ale mając 100,000 fr. kupisz inny majątek, wybudujesz w nim pałac i nazwiesz go Lizardière, skoro ci tak o tę nazwę chodzi.

— Nie, kuzynie, byłaby to ta sama nazwa, ale nie moja Lizardière... A zresztą najwięcej mnie obraża i gniewa, tryumf tej pysznej panny Désormes, który przepowiedziała mi przecie... Powinienem niby być jej wdzięcznym pod pewnym względem — na samą tę myśl przechodzi mnie dreszcz oburzenia i wstydu.

— Ależ tobie to raczej możnaby zarzucić pychę kuzynie.

— Być może, ale proszę cię, kuzynie, nie mówmy o tem teraz; za nadto jestem rozdrażniony.

Pomimo, mniej więcej naturalnej wesołości hrabiego mimo serdecznego obejścia Krystyny i nadskakiwań Marylki, Jan przez cały wieczór był posępny i milczący, i wcześnie odszedł do siebie.

Gdy zostali sami, hrabia de Chazé rzekł do żony:

— Czy widziałaś równie dziwne usposobienie jak kuzyna Jana? nie pojmuję o co się gniewa.

Krystyna nic nie odpowiedziała, ale w głębi duszy pomyślała sobie:

— Ja go pojmuję.

IX.

Tajemnica pastora.

Przez dwa dni następne Jan de Lizardière ani słówka nie wspomniał o tej szczególniejszej licytacyi, co niezmiernie dziwiło hrabiego i Krystynę. Słowa jego tchnęły goryczą; wyraz twarzy był spokojny, prawie uśmiechnięty. Z gorączkowym zapałem oddawał się pracy; polowanie na dzika było prawie skończone, i teraz już hrabina nie mówiła że dąb podobny do wiązu. Była nadzwyczaj uszczęśliwiona z pięknego utworu kuzyna, a hrabia przyglądał się z zachwyceniem odmalowanemu Klodionowi, z nadzwyczaj ostrą miną szarpiącego dzika za uszy.

Ale większe jeszcze zadziwienie czekało hrabiego i hrabinę. Notaryusz z Chateau-la-Valière, zawiadomił hrabiego listownie, że należność za Lizardière wypłaconą będzie margrabiemu Janowi de Lizardière w przyszłą niedzielę, prosi go więc o przybycie do jego kancelaryi, aby razem z panną Désormes podpisać akt kupna i sprzedaży. Krystyna i hrabia zaniepokoili się sądząc że będzie to nader przykrem dla Jana, lecz przeciwnie przyjął wiadomość tę z pewnem zadowolnieniem, i prosił hrabiego i Krystyny aby chcieli mu towarzyszyć i być obecnymi przy spełnieniu wszystkich formalności.

— Nareszcie rozsądek wziął górę; rzekł cicho do żony.

— Czekajmy końca, odrzekła.

W oznaczoną niedzielę, hrabia, hrabina i Jan przybyli do kancelaryi notaryusza, gdzie zastali pana Désormes z córką i synem.

— Przybyliśmy trochę zawcześnie, rzekł pan Désormes, ponieważ miałem wysłać z tąd powóz do Saint- Paterne, po pana Fryderyka Legrand powracającego z Tours; zatrzyma się tam na stacyi, i przybędzie tu aby pojechać z nami do Bruyeres. Czekając tu przejrzałem akta, są w zupełnem porządku, brak tylko podpisów.

Panna Désormes podpisała piewsza, Jan milcząc wziął od niej pióro i podpisał się także, lecz gdy pan Désormes wyjął pugilares i wyliczył summę 100,000 franków, Jan rzekł spokojnie:

— Panie Dubois, proszę chciej sporządzić zaraz drugi akt, mocą którego darowywam miastu Chateau-la- Valière 100,000 fr. z warunkiem wzniesienia szpitala, mającego nosić nazwę *Szpital Lizardière.*

Ze wszystkich piersi głośny wydarł się okrzyk;

zagłuszyły go jednak słowa pana de Chazé tubalnym wypowiedziane głosem.

— Oszalał! kuzyn mój, oszalał!

— Ze względu na wiek mój, rzekł pan Désormes, pozwól pan zrobić sobie uwagę...

— Byłaby najzupełniej zbyteczną, odpowiedział Jan, nie mam zwyczaju przyjmować darowizn, a byłyby nią owe 100,000 fr. za to co nie warte jak dziesięć.

— Więc zatrzymaj pan przynajmniej te dziesięć tysięcy.

— Nie panie, gdybym je zatrzymał, zakrawałoby to na dobrowolną sprzedaż Lizardière — a tak nie jest — wolę więc darować go biednym. Zresztą tylko jakiś niepojęty przypadek zrządził że licytowano do tak wielkiej summy — gdybym ją przyjął nie byłby to już nawet, jak mówią, dobry interes, ale niecny postępek — w mojem przynajmniej przekonaniu.

— Jakto, więc ja miałbym ci radzić niecny postępek! zawołał hrabia.

— Nie, mój kuzynie; mówiłeś zgodnie z pojęciami większości, cóżem winien że ich nie podzielam.

— Jan ma słuszność, kochany Leopoldzie, rzekła hrabina, nie możemy go ganić za to że postępuje zgodnie z sumieniem i przekonaniem swojem. Panie Dubois, przygotuj pan akt żądany przez margrabiego de Lizardière.

Podczas tej ożywionej rozmowy, panna Rajmunda nie wyrzekła ani słówka, ale świeża jej twarzyczka bardzo pobladła.

Gdy akt darowizny został sporządzony i podpisany przez Jana, pan Dubois prosił wszystkich aby raczyli przejść do sali jadalnej, w której pani Dubois przygotowała śniadanie. Hrabina i panna Désormes przyjęły zaproszenie, panowie woleli przejść do ogrodu, aby się rozkoszować cygarami. Siedzieli w oplecionej powojem altance, paląc i rozmawiając, gdy w tem dał się słyszeć turkot powozu, i za chwilę pan Fryderyk Legrand wszedł do ogrodu. Gdy zobaczył młodego margrabiego, dziwny uśmiech pojawił się na jego ustach; nie uszło to uwagi Jana.

— Czy pan Legrand upatrzył we mnie coś co mu się nie podoba, że w tak dziwny sposób wpatruje się we mnie?

— Przeciwnie podziwiam w panu talent którego się nie domyślałem — wielką zręczność w prowadzeniu interesów. Wyborna jest, doprawdy, historya owego pastora!..

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć że przybywam z Tours i widziałem się tam z lady Reede, z którą mamy stosunki handlowe i przemysłowe. Otóż zapytałem jej dlaczego poleciła pastorowi Williamowi Smith, aby do tak bajecznej summy licytował Lizardiére; odpowiedziała mi że nigdy nie dawała podobnego polecenia, i że sam pastor upewniłby mnie o tem, gdyby obecnie nie wyjechał ze swymi uczniami do Nantes. Wtedy zrozumiałem wszystko, i zastosowałem do tego axiomat prawny: *Is fecit qui prodest!* Któż miał interes w tem aby zapłacono tak szalenie drogo za tę ruinę? — nikt procz byłego jej właściciela. Otoż właściciel ten wiedział że panna Désormes poleciła panu Dubois aby koniecznie za jaką bądź cenę nabył Lizardière, widać żyje w przyjaznych stosunkach z owym pastorem, i ten zgodził się na oddanie mu tej przysługi. Sprytny pomysł panie margrabio.

Usłyszawszy te słowa wymówione z szyderskiem lekceważeniem, Jan zawrzał strasznym gniewem; zapanował jednak nad sobą, i odparł z zimną pogardą.

— Przypisujesz mi pan lokajskie wyrachowanie i pomysły — ależ takie miewają tylko zbogaceni dorobkiewicze.

Pan Legrand odczuł silnie zniewagę; zerwał się i rzucił ku margrabiemu.

— Wstrzymaj się pan! ja tak chcę!

Słowa te wyrzekła Rajmunda, która weszła do ogrodu z hrabiną. Postąpiła ku altance i drżąca i wzruszona rzekła do pana Legrand.

— Panie Legrand, jesteś synem przyjaciela mego ojca, nie chcę więc wypowiedzieć słów które musiałyby rozłączyć nas na zawsze — zmuszasz mnie jednak do wypowiedzenia tego co zamilczeć chciałam. Nie pan de Lizardière ale ja prosiłam pastora Smith'a aby podbijał na licytacyi szacunek Lizardière... Ojcu nawet nie mówiłam o tem, ale jestem pewna że mi przebaczy.

— Masz słuszność, moja córko, rozumiem cię i przebaczam.

— Ale ja nigdy pani nie przebaczę — z jej przyczyny wystawiony zostałam na tak niecną zniewagę.

— Mówiąc to pan Legrand nie wiedział że całą sumę oddał pan ubogim, z niezrównaną, może nawet zbyteczną wspaniałomyślnością... Tak więc nie ma zniewagi, gdyż słowa pana Legrand nie mogą stosować się do pana.

— Istnieje inna jeszcze zniewaga, której nic i nigdy zatrzeć nie zdoła — zniewaga jaką wyrządziła mi pani w głębi swej duszy. Być może iż przywiązanie moje do dawnych pamiątek i pojęć jest nieco przesadzone, a pogarda bogactwa na usta wielu ludzi uśmiech tylko wywoła — ale i pani mylisz się bardzo mniemając że pieniądz jest wszechwładnym panem wszystkich serc i przekonań. Pytam się jakiem prawem pozwoliłaś sobie pani zapłacić mi podejściem i dziesięć razy więcej nad wartość, to czego sprzedać nie chciałem? Jeźli ja jestem dumnym to i pani nie jesteś wolną od pychy, i może w głębi duszy mówiłaś sobie: Bah! dobrze zapłaciłam temu margrabiemu za jego pańską ruderę!

— A! panie margrabio, nie zna mnie pan skoro możesz czynić mi podobny zarzut — to się nie godzi.

— Jeźli tak, przepraszam i proszę o przebaczenie, odpowiedział, a po chwili dodał: Doprawdy chyba wykieruje mnie pani na mówcę, gdyż poraz drugi w obec pani puszczam wodze swej wymowie — ale zapewniam że będzie też to i ostatni... Teraz jeszcze tylko mam prośbę do niej: racz pani udać się z nami wybrać miejsce w którem ma być wzniesiony nasz szpital, gdyż obojgu zarówno byt swój zawdzięczać będzie.

Poczem, zwracając znaczące spojrzenie na pana Fryderyka Legrand, dodał;

— Pan Legrand który ma być znakomitym inżynierem, zapewnie nie odmówi nam swej rady.

Widać pan Legrand zrozumiał spojrzenie Jana, gdyż odrzekł natychmiast:

— Najchętniej, panie de Lizardière; otóż zdaje mi się że najstosowniejszem miejscem będzie polanka po za lasem.

— Dobrze, pójdźmy więc w tamtą stronę.

Całe towarzystwo udało się obejrzeć wzmiankowaną miejscowość. Minąwszy ładny plac miejski, zwrócili się w wązką stopniowo obniżającą się uliczkę, prowadzącą do stawu leżącego między miastem a wysokim lasem. Obszedłszy go, weszli do lasu i zatrzymali się na pięknej polance, oświeconej łagodnemi promieniami jesiennego słońca.

— Zdaje mi się, rzekł pan Legrand, iż trudno o odpowiedniejsze miejsce, chorzy będą tu mieć słońce, chłód orzeźwiający wiejący od lasu i od stawu, a mgła dochodzić nie będzie mogła.

— Zgoda, odrzekł Jan. Panie Dubois, dodał zwracając się do notaryusza, proszę chciej załatwić potrzebne formalności z władzami miasta i departamentu; jutro rano przed dziewiątą przybędę tu jeszcze pomówić z panem.

Gdy wracali do miasta, Jan z panem Legrand pozostali nieco za wszystkimi; skoro całe towarzystwo wyprzedziło ich o tyle że nie mogli dosłyszeć co mówią, Jan rzekł do inżyniera:

— Mamy więc miejsce na którem stanie szpital; przed chwilą dał pan dowód wielkiej uprzejmości, i dlatego mam ochotę prosić go o jedną jeszcze przysługę, a mianowicie abyśmy oba, w towarzystwie czterech przyjaciół, inogórowali go jutro o dziewiątej. Jeźli przyjaciele ci przyniosą z sobą dwie szpady, będę im za to bardzo wdzięczny.

— I ja także, panie margrabio.

— Przed chwilą, w ogrodzie notarysza, rozpoczęliśmy rozmowę która koniecznie domaga się dokończenia, panie Legrand.

— Miałem właśnie prosić pana margrabiego abyśmy skończyli ją jak najprędzej.

— Ponieważ panie nie powinny wiedzieć o tej rozmowie naszej, rzekł Jan, więc pan zawiadomi o niej tylko pana Désormes, a ja hrabiago de Chazé.

— Bardzo dobrze, panie margrabio.

Po tej rozmowie przyśpieszyli kroku i złączyli się z towarzystwem, a jakkolwiek od tej chwili ani słowa nie mówili o sobie, zdawało się że nikt nie domyślał się co było przedmiotem krótkiej ich z sobą rozmowy.

Powozy pana Désormes i hrabiego de Chazé oczekiwały na placu; obok nich zebrała się gromadka ciekawych przyglądających się pięknym koniom i zaprzęgom, oraz służbie w bogatej liberyi.

Dzięki tej okoliczności, można było uniknąć długich i ceremonialnych pożegnań; pan Désormes z córką i państwo de Chazé, wsiedli do powozów podawszy sobie ręce — widać przypadkiem zapewnie, Jan i pan Legrand zapomnieli o tej grzeczności.

X.

Pchnięcie w bok.

Po obiedzie, Jan udał się z hrabią do jego gabinetu, gdy usiedli hrabia rzekł pierwszy:

— Więc to na jutro o dziewiątej, kochany Janku?

— Domyśliłeś się więc, kuzynie...

— Dobryś!.. Musiałbym chyba mieć o tobie bardzo złą opinię...

— Ależ w takim razie to pewnie i kuzynka Krystyna?...

— A ma się rozumieć! tylko nie da tego po sobie poznać, ale dziś wieczorem z kwadrans dłużej modlić się będzie.

— Potrzeba mi drugiego świadka.

— Napiszę parę słów do Kajetana de Cambry i zaraz wyprawię umyślnego posłańca.

(D. c. n.)

PANI TEODORA.

przez

Panią Klementynę Helm.

Przekład z niemieckiego.

przez

K. P.

(Dalszy ciąg.)

Nareszcie, pewnego dnia, gdy zniechęcona i upokorzona kropiła w milczeniu bieliznę, przyszło jej na myśl, że jeżeli nie zdoła zwyciężyć przeciwniczki odzywając się do jej miłości macierzyńskiej, to trzeba uderzyć w inną drażliwszą stronę jej charakteru. Nie namyślając się długo, wzięła obrus w rękę, i wyprostowawszy starannie obrąbki, rzekła z najniewinniejszą minką do pani Gahlen:

— Może pani zechce przeciągnąć ze mną? a jednocześnie pomyślała: Oho! nie wyśliźniesz mi się teraz, trzymam cię dobrze. A gdy przeciwniczka zebrała już w ręce drugi koniec obrusa, dodała:

— Doprawdy, wielkie to szczęście dla pani dzieci, że umiesz tak dobrze pokierować gospodarstwem i utrzymać wszystko w porządku, alež w naszej młodości zapatrywano się na wszystko inaczej jak obecnie; dziś wyobrażają sobie że dobra gospodyni jest osobą nie posiadającą wyższego wykształcenia, i nie umiejącą znaleźć się w licznem towarzystwie.

— Czy tak? A gdzież to wyobrażają sobie coś podobnego? Zapewnie w wielkich miastach? ale u nas panują całkiem odmienne przekonania, odpowiedziała żywo pani Gahlen.

— O! i w wielkich miastach umieją oceniać ludzi stosownie do ich rzeczywistej wartości; tylko według mego zdania, lepiej nie dawać powodu do niekorzystnych przypuszczeń. Jeżli, naprzykład, wzorowa gospodyni unika widocznie znajomości z osobami którym nie może uczynić żadnego usprawiedliwionego zarzutu, wyprowadzają z tego wniosek że wydałaby się źle w ich towarzystwie, i z tego powodu stroni od niego.

— Któż to poważa się czynić podobne przypuszczenia, i co to wszystko ma znaczyć? odezwała się pani Gahlen patrząc bystro na ciotkę Polusię, wpatrującą się najspokojniej w serwetę którą trzymała w ręku.

— A! jaka to szkoda! przetarła w środku desenie, rzekła poważnie; szczęściem że potrafię zacerować tak że prawie znaku nie będzie!

Usiadła przy stoliku do roboty, nawlekła igłę i dodała:

— Co to ma znaczyć, droga pani? Nic więcéj nad to że moja kuzynka, pani von Kleist, nie może sobie inaczej wytłomaczyć tego że pani nie chce być na ślubie syna. Wiedząc że się pani urodziła i spędziła całe życie w małem miasteczku, sądzi że nie czułaby się pani... swobodną w stolicy, jako na niewłaściwym sobie gruncie. Niech pani nie zwraca na to tak dalece uwagi, bo wszakże przysłowie mówi: „Jak cię widzą tak cię piszą." Zresztą chcąc kogoś słusznie ocenić, trzeba go znać, a moja kuzynka nie ma szczęścia znać pani, i gdyby nie to, z pewnością tak niedorzeczne przypuszczenia nie powstałyby w jej głowie. Wyznaję z pokorą że ja sama podzielałam je nie znając pani, a nie potrzebuję dodawać że teraz zmieniłam zupełnie zdanie.

Twarz pani Gahlen przybrała wyraz bardzo surowy; chciała kilka razy przerwać ciotce Polusi, ale ta udała że tego nie widzi i nie słyszy.

— Panno Apolonio Frohreich, — rzekła nakoniec podniesionym głosem, usłyszałam od ciebie słowa niemiłe, bardzo niemiłe. Ale chcąc dowieść że nie lękam się spotkania z zarozumiałemi mieszkankami stolicy, oświadczam ci że pojadę na ślub Fryderyka. Trzeba przecie pokazać tym wykwintnym paniom, że nie one tylko znaczą coś na świecie, i że można być dobrą gospodynią, nie będąc ani śmieszną ani ograniczoną.

Wyprostowała się, podniosła dumnie głowę, i odepchnęła nogą na drugi koniec pokoju kosz napełniony bielizną, jakby w tym niewinnym sprzęcie widziała nieprzyjaciela zastępującego jej drogę. Potem otworzyła do szafy zawierającej ciężkie materyalne suknie, rzuciła okiem na każdą z nich, i nie znajdując widać dość strojnemi, zatrzasnęła głośno drzwi.

— Heleno! zawołała rozkazującym głosem, a gdy ta wbiegła niespokojna, prawie zestraszona, dodała: Ślub Fryderyka oznaczony na dzień ósmy bieżącego miesiąca, i uznałam że mi wypada być na nim, a ty pojedziesz ze mną. Róża nie może odjechać od dzieci, Zofia zaś przyrzekła już naszej kuzynce że pojedzie do niej. Pamiętaj o tem, Helenko, że chcę abyś się dobrze przedstawiła w stolicy. Ubierz się prędko; pójdziemy do sklepów kupić materyi na suknię. Nie życzę sobie abyśmy były gorzej ubrane od tych pań modnych, skoro nie ustępujemy im w niczem zresztą. No idź, śpiesz się!

Helena jakkolwiek zdumiona i zadająca sobie pytanie: czy czasem ziemia nie zatrzymała się nagle w biegu? oddaliła się natychmiast nie mówiąc ani słowa. Jakimże cudem miała przyjść do skutku ta podróż o której dotąd nawet słyszeć nie chciała? Co więcej, zaleca jej aby się przedstawiła korzystnie w stolicy, i pomimo swej oszczędności, kupuje dla niej strojną toaletę, choć tak niedawno sprawiła jej ładną suknię na wiązanie. Nie, to coś niepojętego! Helena odurzona prawie tak niespodziewaną wiadomością, zatrzymała się na pierwszem stopniu schodów, gdy otworzono drzwi nagle, i wesoły głos szepnął jej do ucha.

— A co ucieszyłaś się, kochanko?

— Ah! panno Apolonio, zawołała Helena, czy to prawda? Czy mama rzeczywiście pojedzie do B.... i mnie weźmie z sobą?

— Tak, Heleniu, pojedzie z pewnością, odpowiedziała cicho ciocia Polusia, i nawet nie domyśla się tego że to ja wpłynęłam na jej postanowienie; nie powiedzże nic takiego coby jej mogło tę myśl nasunąć.

Pewna już swego szczęścia, Helena pośpieszyła uwiadomić o niem siostry, w których to pochlebne wyróżnienie przez matkę najmłodszej z nich, obudziło trochę zazdrości; jedna tylko Joanna podzielała szczerze radość kuzynki.

— Bądź co bądź, odezwała się Zofia, cieszy mnie to że mama namyśliła się nakoniec pojechać na ślub Fryderyka; wymagał tego honor naszej rodziny, i nie pojmuję jak mogła dotąd nie zwrócić na to uwagi

— Dajże mi pokój z tym twoim wiekuistym honorem rodziny, odpowiedziała Róża wzruszając ramionami. Świetnie będzie przedstawiany przez takiego daieciucha jak nasza Helena. Nie pojmuję dlaczego ja nie miałabym pojechać; mogliby przecie obyć się bezemnie przez te parę dni, a moja obecność byłaby tam daleko właściwszą.

— Cenna to rzecz skromność i pokora, Różo, kwiecie mej duszy, gwiazdo mojego życia, odezwał się Albert. O! bardzo cenna! dla tego też używasz jej tak oszczędnie.

Nie usposobiona do żartów, Róża, chciała go udeżyć, ale zwinny chłopiec odskoczył prędko, i zatrzymawszy się przy drzwiach, rzekł śmiejąc się głośno.

— Nie udało ci się, koteczko, ale nie smuć się, może na przyszły raz będziesz zręczniejsza.

VII.

Ślub.

— Witam cię droga matko! z uczuciem głębokiej wdzięczności, mówił Fryderyk wprowadzając matkę i siostrę do wynajętego dla nich mieszkania. Pójdę teraz po moją Teodorę, która tak pragnie cię poznać.

— Cierpliwości, mój synu, cierpliwości muszę się pierwej ubrać.

— Do Teodory? Byłoby to zbytecznem, ona tak mało wagi przywiązuje do stroju.

— Co za niedorzeczność! Nie idzie mi wcale o nią tylko o siebie samą, rzekła trochę cierpko pani Gahlen. Nie chcę aby moja przyszła synowa widziała mnie w ubraniu zmiętem i zakurzonem. Matka mojego męża przyjęła mnie po raz pierwszy w sukni przetykanej złotem i w czepku z kosztownych koronek. Nigdy jeszcze w życiu nie doznałam równie silnego wrażenia.

— Inne czasy, inne obyczaje, droga mamo, odpowiedział śmiejąc się Fryderyk. Podobne przyjęcie przestraszyłoby Teodorę, a przyznam się że i dla mnie nie byłoby wesołe.

— Nie wyśmiewaj dawnych zwyczajów, zachowywanych przez twą matkę i babkę, Fryderyku. Trzeba wzbudzać pewną obawę w tych którzy powinni nas szanować. Zresztą nie sądzę abyś mi chciał narzucać twój sposób widzenia.

— Nie, z pewnością, odpowiedział Fryderyk zwracając się ku drzwiom.

— Weź mnie z sobą Fryderyku, zawołała Helena. Chciałabym jaknajprędzej poznać twą narzeczonę.

— Nie, pozostaniesz ze mną: według dawnych zwyczajów, które ja szanuję i do których ty musisz się zastosować, narzeczona powinna pierwsza powitać swą przyszłą familię.

Twarz Heleny przedłużyła się, i ze smutkiem patrzyła na brata przechodzącego szybko przez ulicę. Ale musiała stosownie do rozkazu matki zmienić ubranie, a gdy ta następnie usiadła już na sofie w paradnej materyalnej sukni, zaczęła znów wyglądać przez okno.

— Otóż idą! zawołała po chwili Helena, i chciała wybiedz naprzeciw nich, ale pani Gahlen nie pozwoliła na to i kazała jej usiąść przy sobie.

Nakoniec drzwi się otworzyły i Teodora weszła prędko z wyciągniętemi rękami, lecz onieśmielona sztywną i uroczystą miną przyszłej matki, która zaledwie uniosła się z sofki na jej powitanie, zatrzymała się nagle, i z wahaniem przyjęła rękę podawaną jej tak ceremonialnie. Doznała bardzo przykrego wrażenia; przedstawiała sobie zupełnie inaczej matkę Fryderyka; kochała ją nie znając, przybyła do niej z sercem pełnem dziecięcego przywiązania, i została prawie odtrąconą zaraz od pierwszej chwili. Zdawało jej się że ją nagle owiał jakiś wiatr mroźny, i zaledwie zdołała odpowiedzieć na kilka życzliwych słów w których pani Gahlen nazwała ją córką. Szczęściem, Helena wyprowadziła ją z tak niemiłego położenia.

— Dzień dobry, moja przyszła siostrzyczko, rzekła zarzucając jej ręce na szyję.

Teodora odpłaciła jej z lichwą to serdeczne powitanie, i zaczęła się znów ożywiać ucieszona serdecznem powitaniem miłego dziewczęcia, gdy Helena posadziła ją na sofie przy matce, widząc że pani Gahlen zaczyna się niecierpliwić.

Rozmowa toczyła się dalej zimno i z przymusem, gdy weszła niespodziewanie ciotka Polusia.

— Byłam pewną że tu zastanę rozmowę poważną i ceremonialną, jak to bywa zwykle przy pierwszem widzeniu, zawołała wesoło. Co prawda, trudno żądać aby inaczej było, młodzi są nazbyt żywi, my starsi nazbyt powolni, dla tego też z początku każdy zaczyna śpiewać z innego tonu. Ale gdzież jest moja kuzynka? zapytała; doprawdy weszłabym trzy razy na schody, zanim ona dojdzie do trzeciego ich stopnia.

W tej właśnie chwili weszła pani von Kleist, a jej postawa tchnąca pełną słodyczy i spokoju godnością, zrobiła tak silne wrażenie na matce Fryderyka, że podniosła się prędko i pośpieszyła naprzeciwko niej. Ten całkiem niespodziewany dowód grzeczności, ułagodził panią Gahlen, i odtąd całe towarzystwo czuło się swobodniejszem.

Pani Kleist widziała panią Gahlen tylko w dobrem i uprzejmem usposobieniu, ale Teodora nie mogła się pozbyć jakiegoś przykrego niepokoju, smuciła ją ta chmura ukazująca się tak niespodziewanie na jej pogodnem czole. Następne dni przeszły milej i zatarły po części to nieprzyjemne wrażenie. Fryderyk zwracał zawsze rozmowę na przedmioty o których matka jego najchętniej mówiła, a ciotka Polusia umiała pokryć zbyt gęstą zasłoną wszelkie niedokładności w domu swej kuzynki, aby mogło zakraść się jakieś nieporozumienie, między osobami pragnącemi zresztą szczerze podobać się sobie wzajemnie. Jednak panująca obecnie zgoda była głównie dziełem pani Kleist, umiejącej być tak grzeczną i uprzedzającą dla matki przyszłego zięcia, że ta zapomniała o swych uprzedzeniach. Dla Heleny, pobyt w stolicy był tak obfitym w przyjemności, i tak była zachwycona Teodorą, iż nie przyszło jej na myśl że na tej ziemi nie ma doskonałego szczęścia.

Nadszedł nakoniec dzień uroczysty, Teodora była zachwycającą panną młodą, tak że nawet serce mamy Gahlen napełniło się dumą i czułością. Według zdania kompetentnych sędziów, Helena była najpiękniejszą z druchen; w różowej jedwabnej sukni, i kwiatach zdobiących jej ciemne włosy, wyglądała jak uosobienie wiosny, a przynajmniej tak utrzymywał Henryk Turner.

Matka i córka muszą się już rozłączyć. W sercu matki któremu człowiek obcy wydziera skarb najdroższy, jedyny, toczy się ciężka walka; ale oczy spoglądają wesoło, a z ust wychodzą tylko słowa czułości i zachęty dla córki rozpoczynającej nowe życie. Wtenczas dopiero gdy pozostanie samą będzie wylewać łzy boleści, które teraz powstrzymuje tak energicznie, aby nie zasmucić ukochanego dziecięcia. Nikt, z tych co nie przebyli tej ciężkiej próby, nie zdoła wyobrazić sobie cierpienia i obawy matki, która posiadając długo i wyłącznie przywiązanie ukochanej, musi ją oddać innemu, który odtąd stanie się głównym przedmiotem jej miłości. Czy on potrafi ocenić tę miłość, czy potrafi dla niej zapomnieć o sobie, oddalać ciernie z jej drogi, jak to czyniła matka którą opuściła dla niego?

VIII.

W swoim domu.

Szybko upłynęły błogie dni które młoda para przepędziła we Włoszech. Dla Teodory rzeczywistość przechodziła najpiękniejsze jej marzenia. Ta podróż we dwoje, widok tylu skarbów artystycznych nagromadzonych na tej uprzywilejowanej ziemi, budził w niej zachwyt odddziaływający i na upojonego swem szczęściem Fryderyka. Wolny od interesów i zajęć naukowych, z najżywszą radością poświęcał czas młodej swej żonie. Gdy Teodora zapełniała swój album szkicami, on siadał przy jej nogach, lub też trzymał wielki parasol nad jej śliczną główką, zwracającą się ku niemu często z najtkliwszym uśmiechem. Dotąd talenta Teodory nie czyniły na nim wielkiego wrażenia, dlatego też teraz tym większą sprawiało jej to przyjemność, że podzielał jej zachwyt wywołany pięknością otaczającej ich przyrody, i podziwiał pewność jej ręki i oka. W listach Teodory czuć było to błogie upojenie, a pani Kleist czytała je z uśmiechem na ustach i ze łzami w oczach. Ona także po ślubie pojechała z mężem do Włoch, i ta podróż stanowiła dotąd najprzyjemniejsze wspomnienie z całego jej życia, a teraz przynosiła jej tę korzyść jeszcze że mogła zrozumieć upojenie swej córki.

Zbliżył się nakoniec dzień powrotu do kraju, w którym oczekiwał na nich mały, ale śliczny domek, zaraz przy wstępie do miasta. Przed nim rosły dwie stare lipy, a za nim ciągnął się ogród niewielki, ale pełen tych pięknych kwiatów jesiennych które wynagradzają brak woni bogactwem i rozmaitością barw swoich. Wewnątrz życzliwe ręce zawiesiły świeże girlandy w miejsce zeschłych, pozostawionych przez ciocię Polusię, i prawie cała rodzina Gahlenów zebrała się tam, aby młoda para nie czuła się osamotnioną wchodząc do swego domu.

Pani Gahlen siedząc na krześle przy oknie, trzytrzymała się prosto jak świeca i robiła pończochę; siwe jej włosy były gładziuchno uczesane, czepek biały jak śnieg, a suknia tak świeża jakby ją pierwszy raz miała na sobie, ale, co było daleko ważniejszem, twarz jej przybrała niezwykły sobie wyraz dobroci; nawet jej podwójny podbródek spoczywał jakoś dobrodusznie na miękkich fałdach białego fularu, a okulary połyskiwały wesoło.

Zofia przerzucała jakąś książkę; Helena nie zdolna usiedzieć na miejscu, bębniła palcami po szybie; Hans Altman, zięć pani Gahlen, chodził niecierpliwie po pokoju.

— Już czwarta dochodzi! zawołał nakoniec spojrzawszy na zegarek. Nie mogę dłużej czekać. Nie pojmuję czemu się tak spóźniają.

— Mnie także zaczyna to już niecierpliwić, rzekła Helena otwierając okno.

— Proszę cię, Heleno, zamknij okno! powiedziała pani Gahlen, a potem dodała spokojnie: Kto czekać nie może lub nie chce, niech odejdzie, nikt go tu nie zatrzymuje.

Hans Altman nie zrozumiał widać tej przemówki, dość jednak wyraźnej, bo zamiast odejść zaczął czytać wyjętą z kieszeni gazetę, i nie wymówił już ani słowa.

— Czy nie zechciałaby mama udzielić mi jakich szczegółów o ślubie Fryderyka? odezwała się Zofia. Wprawdzie wczoraj, zaraz po moim powrocie, Helena wiele mi o nim mówiła, ale tak jest wszystkiem zachwycona, że nie zupełnie polegam na jej zdaniu.

— Co do mnie, tyle tylko powiedzieć ci mogę, że nie żałuję ani wydatków ani też własnego utrudzenia, gdyż wszystko odbyło się stosownie i bez zarzutu. Wprawdzie nie tak już jak za moich czasów, ale umiano uszanować osoby posiadające do tego prawo. Pani von Kleist jest kobietą miłą, zacną i światłą. Teodora podobała mi się więcej niż się tego spodziewałam, choć o ile mi się zdaje nie zna się na gospodarstwie.

— Zobaczysz Teodorę, Zofio, zawołała Helena, i będziesz nią jak ja zachwycona. Znajdziesz w niej uosobienie piękności, powabu i dobroci.

— Pocieszajmy się tą nadzieją że już nie długo zobaczymy ten wzór doskonałości, rzekła cierpko Zofia, i zaczęła się przyglądać wiszącym na ścianach obrazom.

Usłyszano turkot powozu. Helena ucieszona wybiegła natychmiast, i po chwili zarzuciła już ręce na szyję Teodory, która jednak nie miała czasu odwzajemnić się jakby pragnęła za to serdeczne powitanie, gdyż pani Gahlen ukazała się właśnie na progu, Fryderyk pociągnął ją ku niej.

— Witam was, drogie dzieci moje! niechaj błogosławieństwo Boże spływa zawsze na wasze domowe ognisko, rzekła pani Gahlen, całując syna z niezwykłą czułością.

Nie mniej serdecznie powitała Teodorę, która nie spodziewała się tego wcale, po takiem przyjęciu jakie ją spotkało przy pierwszem widzeniu, dlatego też uniesiona radością ucałowała wszystkich otaczających ją w tej chwili. Hans Altman, na którego to szczęście spadło całkiem niespodziewanie, został nim przyjemnie zdziwiony, ale na twarzy pani Gahlen ukazał się wyraz żywego niezadowolnienia.

— Jakaż to śmiałość postępowania z człowiekiem znanym jej zaledwie z nazwiska! pomyślała rzucając na synowę surowe spojrzenie. Teodora wchodzi tymczasem do pokoju wraz z mężem, Hansem i Heleną, rozmawia z nimi wesoło, cieszy się wszystkiem na co tylko spojrzy, a nakoniec wybiega, skacząc prawie, obejrzeć swe małe królestwo.

— Zdaje mi się, rzekła Zofia, gdy pozostała sama z matką, że nasza obecność jest tu zupełnie zbyteczną. Widać że moja zachwycająca bratowa sądzi że uchybiłaby sobie, ukazując jakieś względy familii męża, a może nawet dziwi się że za przykładem Heleny i Altmana, nie tworzymy jej honorowego orszaku.

Nie odebrała na te słowa żadnej odpowiedzi, ale zbyt dobrze znała matkę aby mogła sądzić że nie czuje się obrażoną. Wkrótce potem pani Gahlen wstała i włożyła kapelusz.

— Czas mi już wracać do domu, rzekła zimno do synowej, gdy ta wróciła do pokoju.

Teodora której nie przyszło nawet na myśl aby to co czyniła mogło być uważane za niegrzeczność, nie domyśliła się także iż matka męża czuje się obrażoną, czego zresztą nie dostrzegł i Fryderyk, zbyt w tej chwili ucieszony aby mógł zachować swą zwykłą przenikliwość. Przyrzekł że zaprowadzi wkrótce żonę do swego starego rodzinnego domu, i pani Gahlen oddaliła się z zięciem i córkami.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 25.

(Dokończenie).

N. 8. Suknia z tuniką i krótkim paletocikiem. Patrz ryc. 13—14 i 41—42 w N-rze 24.

Ten rodzaj tuniki nadaje się zarówno do materyi jedwabnych, wełnianych lub letnich kretonów i zephyrów; model był z czarnej materyi faille. Spódnica ma wolant 38 cent. szeroki, układany w kontrafałdy 8 c. szerokie, w 3 cent. odstępach,, w połowie długości podszyte od spodu taśmą. Na tunikę potrzeba czterech brytów, których wymiar i ufałdowanie wskazaliśmy na r. 42 w N. 24. Krótki paletocikowy stanik uszyty z grubej materyi „ottoman“ pod którą nie potrzeba podszewki, tylko brzegiem dana listwa szeroka z kolorowej materyi, przedstawiliśmy z przodu na r. 13, z lewej zaś strony na r. 14 w N-rze 24. Garnirunek przy nim stanowi riusza koronkowa lub układana z materyi podług ryc. 41, u dołu 16 cent., pod szyją 8 cent. szeroka; brzegi riuszy dane z wązkich kawałków materyi wyciętej w zęby układanych w podwójne kontrafałdy, środek zajmuje pasek materyi suto bardzo namarszczony i na palcach rurkowany w kontrafałdy. Guziki szmuklerskie.



N. 1. Ubranie z paletocikowym stanikiem dla dziewczynki lat 6—8. Patrz ryc. 6.



N. 3. Kapelusz słomkowy.

N. 14—15. Serwetka okrągła. Haft aplikowany.

Efektowne przyozdobienie serwetki stanowić może aplikacya haftu krzyżykowego, gobelinowego lub złotego. Model przedstawiony na ryc. 15, miał tło środkowe (15 cent. średnicy) z ciemno oliwkowego pluszu, szlak zaś 11 i pół c. szeroki z pluszu koloru pawiego; na zszyciu dana podwójnie wzięta filozela bronzowa, przytrzymana poprzecznemi ściegami, Aplikacya z haftu krzyżykowego na kanwie, odrobiona blademi kolorami, naszywa się tak aby połową zachodziła na tło, a drugą na szlak. Brzegi serwetki otacza frendzla jedwa-



N. 2. Sukienka bluzkowa.

N. 4 Suknia z draperyi. Patrz ryc. 43 w N. 24.

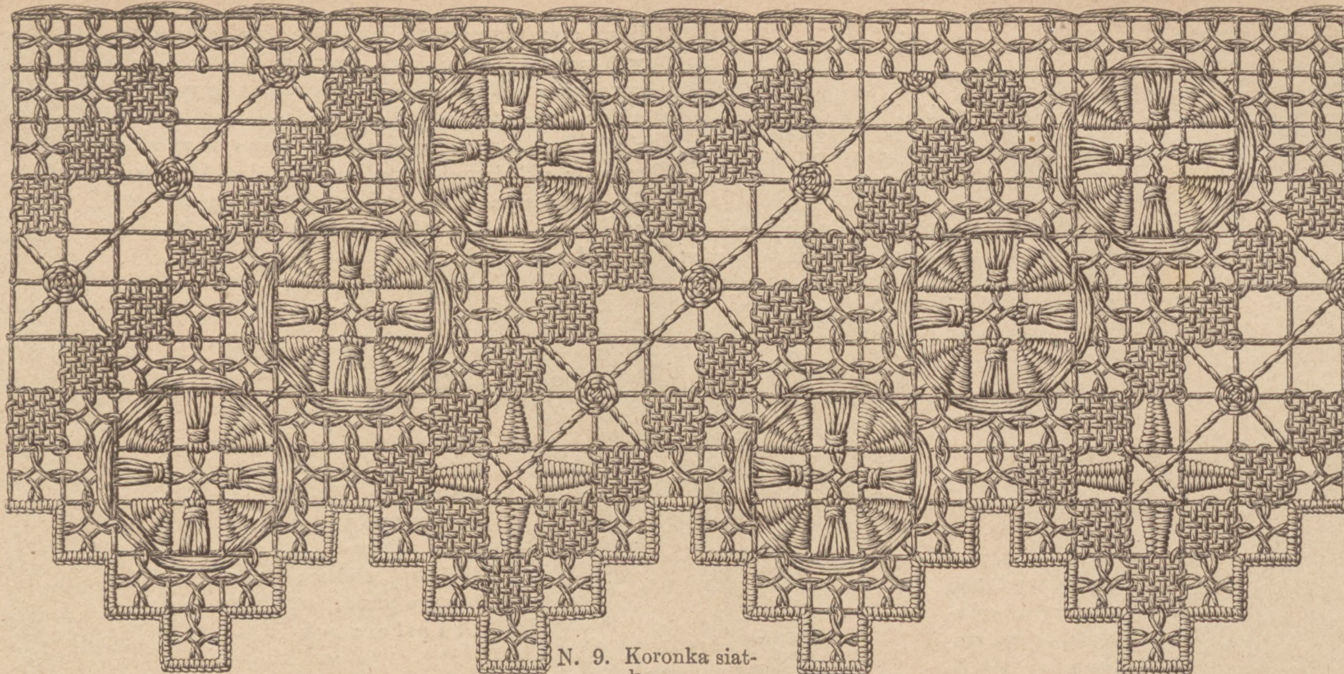
N. 5. Suknia z długą fartuszkową tuniką.

N. 6. Ubranie dla dziewczynki lat 6--8. Patrz ryc. 1.

N. 7. Suknia zdobna haftami. Patrz ryc. 33 tudzież ryc. 12 w N. 24.

N. 8. Suknia z krótkim paletocikiem. Patrz ryc. 13 do 14 i 41—42 w N. 24.

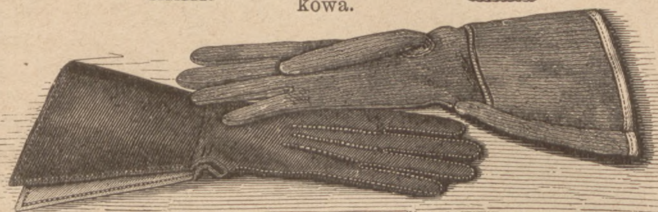
bna z torsadką szmuklerską, przerabianą złotem. Na ryc. 14 dajemy bardzo efektowny wzór haftu złotem przedstawiający w naturalnej wielkości gałązkę do aplikacyi, którą można by także wyhaftować ściegiem płaskim, kolorowym jedwabiem. Haft do aplikacyi wykonywa się w krosienkach na płótnie średniej grubości; po ukończeniu roboty i obwiedzeniu brzegów łańcuszkiem deseń się wycina i przyszywa starannie do tła, kryjąc te ściegi między ściegami łańcuszka. Jak to widzimy na ryc. 14 haft złotem wykonany jest różnemi ściegami; po większej części listki pokrywa nitka złota, wzięta podwójnie, przekładana tam i napowrót i przyszywana jedwabiem żółtym, niewidocznemi ściegami; środek kwiatu naszyty bajorkiem, kielich zaś odrobiony ściegiem płaskim nitką złotą przeszytą prostemi ściegami z czarnego kordonku. W mniejszym kwiatku i w pączku środek dany z nitki srebrnej przeszytej w kratkę czarnym jedwabiem.



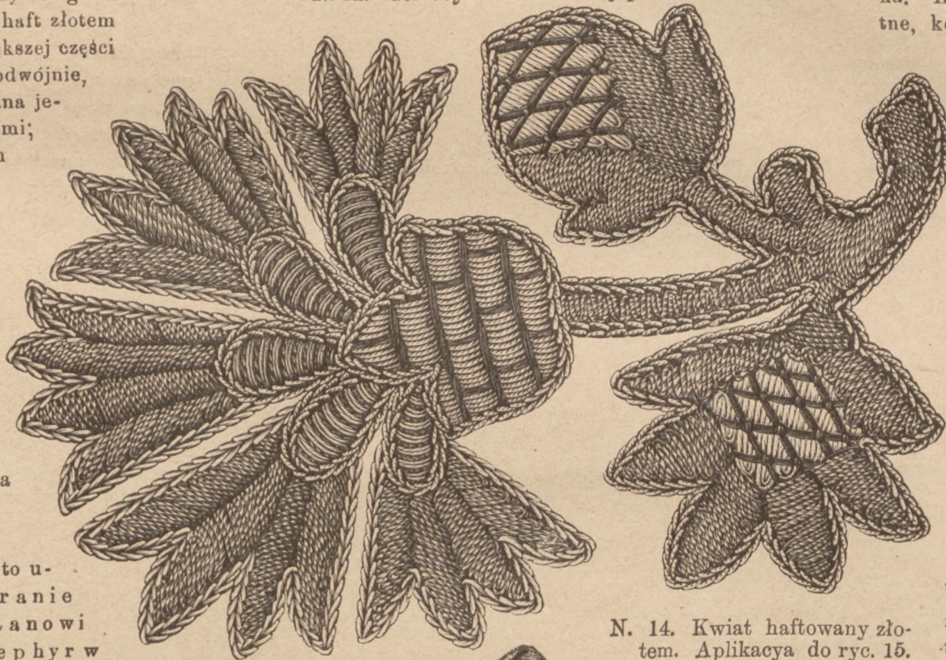
N. 9. Koronka siatkowa.



N. 10. Plecy do ryc. 1 w N. 24.



N. 12.—13. Rękawiczki ze sztylpami.



N. 14. Kwiat haftowany złotem. Aplikacya do ryc. 15.

N. 16—19. Ubrania dla dziewczynek lat 3—9.

N. 16. Sukienka naszyta sutaszem, dla dziewczynki lat 7—9.

Materyał na to ubranie stanowi zephyr w kratkę białą z granatowym; do naszycia użyty wązki granatowy sutasz. Długi stanik na gładko dopasowanej podszewce, ma w górze dodany karczek 12—14 c. szeroki, naszyty bardzo gęsto sutaszem; przody i plecy przemarszczone kilkakrotnie przy karczku, są w środku założone w kontrafałdy boki krajane oddzielnie zachodzą paletocikowo na fałdy i są z brzegów dwukrotnie naszyte sutaszem. Spódniczka zdobna trzema wolantami jest powyżej naszyta sutaszem tak jak karczek i mankiety.



N. 16. Sukienka wyszyta sutaszem.

N. 17. Sukienka z karczkiem. Patrz ryc. 44.

N. 17 i 44. Sukieneczka z karczkiem, dla dziewczynki lat 2—4.

Ryc. 17 i 44 przedstawiają przód i plecy sukienki z tyłu zapinanej, 50 c. długiej włącznie z plisowaniem 8 cent. szerokiem a 85 obwodu mającej. Szyje się ona na gładko dopasowanej podszewce, z kaszmiru crême w niebieski rzucik; górny brzeg przymarszczony, wpuszczony jest w gładki karczek a 13 cent. poniżej na wcięciu materyał zwierzchni przemarszcza się kilkakrotnie na szerokość 4 cent., dolna zaś połowa sukienki marszczy się w dwie bufy po 12 cent. szerokie, z pod których wysuwa się plisowana falbanka. Kołnierz i mankiety aksamitne, kokardy z aksamitki niebieskiej 3 cent. szerokiej.



N. 15. Serwetka okrągła pluszowa z aplikacyą. Patrz r. 14.

N. 18. Sukieneczka z kokardami, dla dziewczynki lat 3—5.

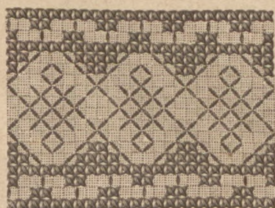
Spódniczkę 15 cent. szeroką stanowi skośny wolant, cztery razy przemarszczony u góry, u dołu naszyty haftem 10 cent. szerokim. Przody stanika środkiem założone są w trzy kontrafałdy (na które naddać materyału zwierzchniego) przewiązywane kokardami, a zapięte na kryte haftki. Zakończenie stanika stanowią klapki 12 cent. długie, wycinane w kwadraty podłożone materyą; przyszycie przykrywa wstążką, związaną z tyłu w kokardę.

N. 19. Ubranie z długim paletocikiem.

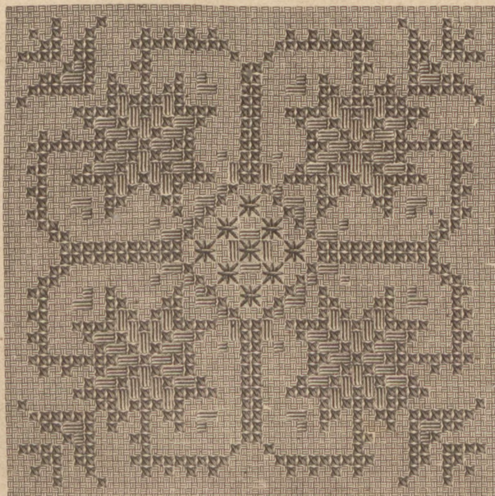
Tegoroczna moda pozwala do letnich bawełnianych materyałów użyć aksamitu na przybranie, widzimy to przy sukience ryc. 19; dla dzieci można go zastosować tylko przy ciemniejszych sukienkach, nie wymagających częstego prania. Model r. 19 był z zephyru w pasy ciemno zielone z ponsowem, a przybranie z ciemno ponsowego aksamitu. Paletocik ma plecy krajane dłużej i podpięte w bufy, przody zaś złożone w kontrafałdy 4 cent. szerokie, na które trzeba naddać materyału. Pasek kołnierz i mankiety aksamitne. Garnirunek spódnicy składa się z plisowania 8 cent. szerokiego, z plisy aksamitnej 6 cent. szerokiej i z bufki cztery razy przemarszczonej w górze.

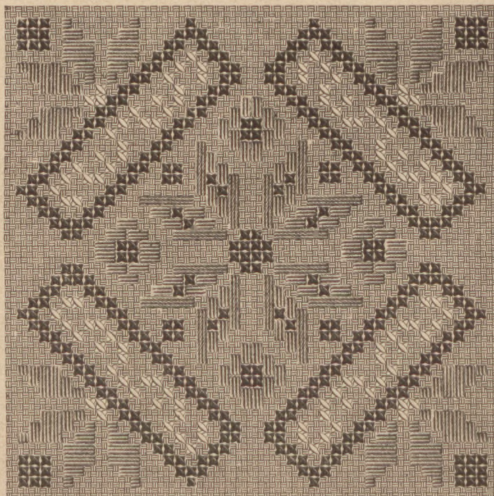


N. 18. Sukienka zdobna kokardami. N. 19. Sukienka z długim paletocikiem.

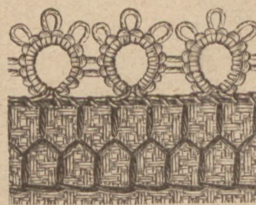


N. 20. Desenik do ryc. 41.





N. 21—22. Kwadraty do poduszki ryc. 30.



N. 23. Brzeżek do ryc. 30.

N. 27—28. Chusteczka sznelowa robiona szydełkiem.

Jako zarzutka przy letniem ubraniu na szyję, lub wieczorem na głowę, najmilsza w noszeniu jest chusteczka z tasiemeczki sznelowej, robiona na drutach lub szydełkiem. Model, który opisujemy, był z tasiemeczki sznelowej, koloru vieil-or, przerabianej podwójnie wziętą włóczką, czarną kamelorową; ryc. 27 wskazuje próbkę roboty ściegiem tunetańskim.



N. 25. Kapelusz zdobny pukielkami z wstążki.

N. 29. Pelerynka z kołnierzem koronkowym.

Strojna pelerynka uszyta jest z gazy jedwabnej w aksamitny deseń (gaze velours) i garnirowana koronką chantilly, można ją wszakże zrobić z tego co suknia materyału. Formę dopasować można podług kroju do r. 43 w N. 22, dając obadwa końce zupełnie równe. Kołnierz dany z koronki 12 c. szerokiej, zwężonej z przodu do 3 c. przedłuża się do wykroju szyi 20 cent. długiego i podgarnirowanego koronką 7 c. szeroką. Przednie brzegi pelerynki zebrane w fałdy do 10 cent. długości zapięte są na haftki pod długą kokardą ze wstążki.



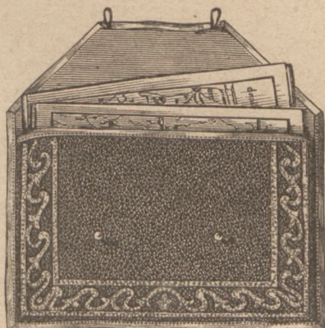
N. 28. Chusteczka sznelowa robiona szydełkiem. Patrz r. 27.



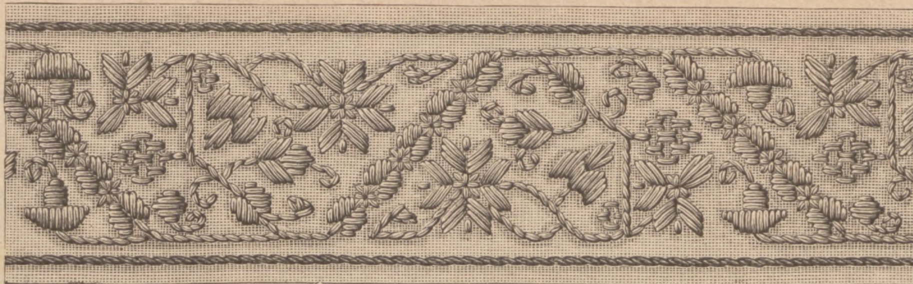
N. 34. Przykrycie do krzesła ogrodowego. Patrz r. 37.

N. 31—32. Parasolik z pokryciem kretonowem.

Podczas dalszej przechadzki, w podróży lub w czasie picia wód najwięcej używane są duże parasolki, na mocnej grubej trzcinowej lasce, z pokryciem kretonowem w deseń w guście à la Watteau. Ażeby figurki i widoczki nie były przecinane, pokrycie takie jest z jednej sztuki, jak to wskazuje ryc. 32. Brzegi parasolika otacza koronka ficelle; u góry dana wielka kokarda z kolorowej atłasowej wstążki.



N. 36. Teka na gazety czytane w podróży. Patrz ryc. 35.



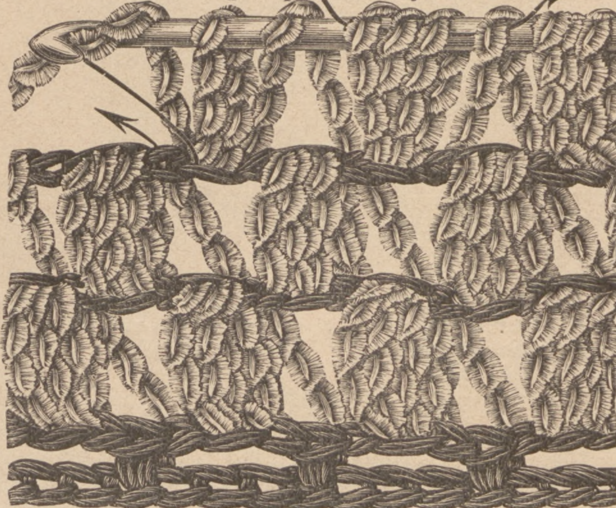
N. 24. Szlak ściegiem płaskim do ryc. 35—36.

N. 37—42. Krzesło ogrodowe.

Bardzo wygodne i lekkie do przenoszenia krzesełko ma podstawę drewnianą dająca się rozbierać i składać a zamiast stałego wysłania przykrycie z mocnego żaglowego płótna, zakładające się za pomocą narożników przymocowanych od spodu (patrz ryc. 38 do 40). Większe lub mniejsze przyozdobienie tego przykrycia zależy od gustu i pracowitości właścicielki, my nieledwie w każdym N-rze dajemy różne wzory wyszycia i desenie. Dzisiaj załączamy takowe na ryc. 34, 37 i 41—42.



N. 26. Kapelusz zdobny pletnią.



N. 27. Robota szydełkowa na chusteczkę ryc. 28.



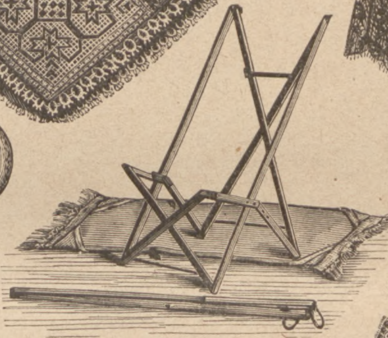
N. 30. Poduszka podróżna. Patrz ryc. 21—23.

N. 43. Ubranie marynarskie dla chłopczyka lat 2—4.

Odrobione z ciemno granatowego kaszmiru, podług kroju do r. 16 i 17 w N-rze 22, naszyte niebieską jedwabną pletnią 1 cent. szeroką, dopełnione jest dla małego chłopczyka spódniczką plisowaną, 20 cent. długą a 260 obwodu mającą. Kołnierz marynarski, z tyłu 10 cent. szeroki, związany atłasową kokardą. Guziczki metalowe w kształcie kotwic.

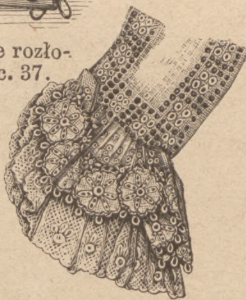


N. 29. Pelerynka z kołnierzem koronkowym.



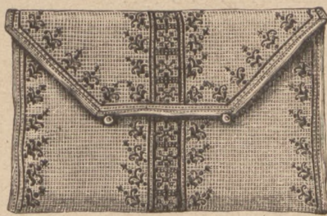
N. 38—40. Krzesło ogrodowe rozłożone, i przykrycie. Patrz ryc. 37.



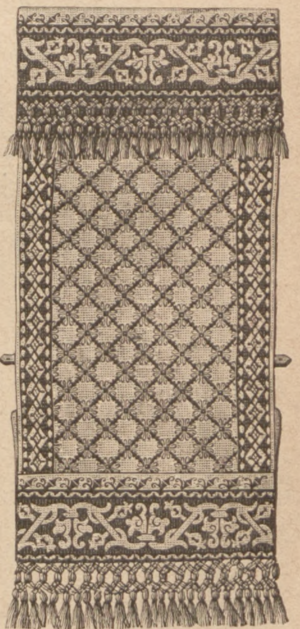


N. 33. Rękaw do ryc. 7.

N. 31—32. Parasolik z pokryciem kretonowem z jednej sztuki.



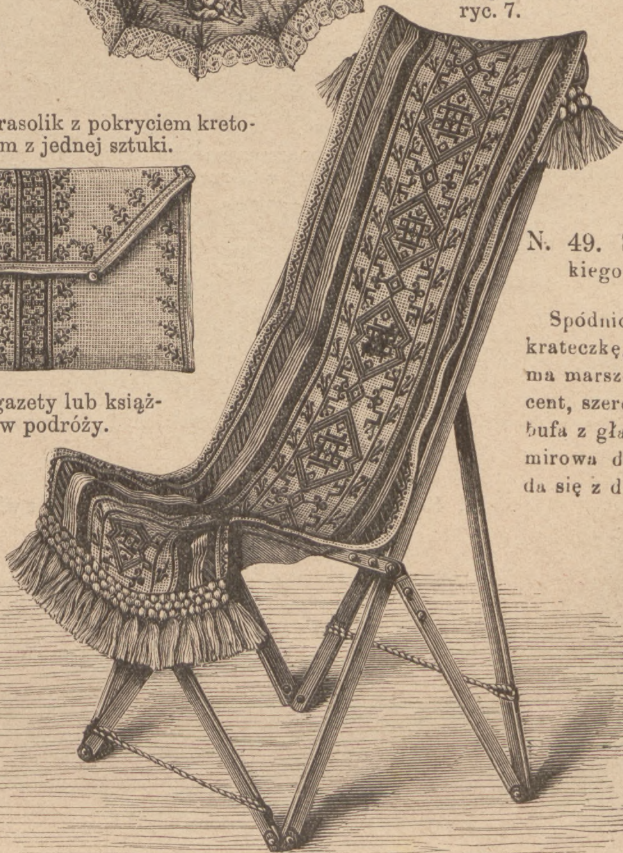
N. 35. Teka na gazety lub książki czytane w podróży. Patrz r. 36.



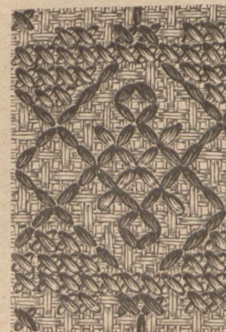
N. 41. Przykrycie do krzesła ogrodowego ozdobione wyszyciem. Patrz ryc. 37 i 42.

N. 49. Suknia z dwojakiego materyału.

Spódnica jedwabna w krateczkę, przykryta dwoma marszczonemi falbanami podszytemi muślinem, po 30 cent, szerokiemi; na przednim brycie nad falbanami dana bufa z gładkiego kaszmiru 40 cent. długa. Boczna kaszmirowa draperya rozchodząca się na bufie przedniej układa się z dwóch brytów 130 cent. długich a 50 szerokich podpinając brzegi w trzy pukle jeden na drugi podszyte od spodu materyą i fantazyjnie przewiązane wstążką atłasową 6 cent. szeroką. Pukle te najlepiej przyszyć do spódnicy; tylne upięcie dane z bryta 120 c. długiego. Stanik ma kamizeleczkę z materyi w kratkę i kołnierz szalowy z materyi gładkiej.



N. 37. Krzesło ogrodowe składane z przykryciem z żaglowego płótna. Patrz ryc. 38—42.



N. 42. Deseń na tło do ryc. 41.

N. 50. Suknia z kolorowym haftem.

Odrobiona z blado niebieskiej popeliny jedwabnej i ozdobiona szlakami, haftowanemi kolorowym jedwabiem na gazie stanowi strojną toaletę wizytową. Tenże sam fason może być zastosowany do letnich materyałów: zephyru, kretonu, lub t. p., ozdabiając szlakami, koronką lub falbankami. Na spódnicy dana falbana, układana w podwójne kontrafałdy po 11 cent. szerokie, przedzielane pasami szlaków, zszytych brzegiem do środka, danych gładko na środku 18 cent. szerokich przedziałów. Tunikę zastępują trzy fal-bany haftowane, po 22 cent. szerokie i nad niemi upięta bufa z brytów 56 c. długich; z tyłu dany długi bryt prosty, w górze suto podpięty. Zgrabny stanik z bawetem, przybrany z przodu naszyciem haftu, u góry odznaczającem wykrój kwadratowy, który przy ubraniu wizytowem zapełnia się tylko koronką, na ulicę zaś powinna być podłożona materya.



N. 45. Czapeczka dla panienki. Patrz ryc. 46.



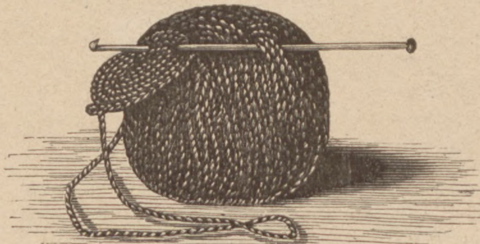
N. 43. Ubranie marynarskie dla chłopczyka lat 2—4. N. 44. Sukieneczka z karczkiem. Patrz ryc. 17.



N. 47. Chusteczka koronkowa.



N. 48. Stanik z marszczoną kamizelką. Do ryc. 18 w N-rze 24.



N. 46. Zaczęcie czapeczki ryc. 45, robionej z włóczki „parsifal".



N. 49. Suknia z dwojakiego materyału.



N. 50. Suknia z kolorowym haftem.



Pl. 547.

Nr 26.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.